CENA 1.50 ZŁ

47 (783) Rok XV

19.11.72

LIST DO WAS

...poświęcamy wiele miejsca reportażowi i publicystyce, bo wydaje się nam, że to właściwa droga, czy sposób najlepszego ataku na problemy naszej współczesności. Ataku w sensie konstruktywnej krytyki i jednocześnie afirmacji zjawisk i ludzi, którzy są tego godni. Chcemy robić pismo na tak, jesteśmy przeciwni krytyce, z której nic nie wynika i którą łatwo można utożsamić z negacją...

„Stara to prawda, że czytelnicy redagują gazetę. Chcielibyśmy się też do tej zasady odwołać. Wasze listy, uwagi, spostrzeżenia i propozycje mogą nam pomóc w realizacji tych wspólnych celów. Nie chcemy, żebyście tylko czytali nasze reportaże, felietony, artykuły publicystyczne, przyglądali się biernie naszym, nie zawsze udanym, inicjatywom. Nie zależy nam również na grzecznościach i komplementach, lecz rzeczowej pomocy, krytyce, ocenie i inspiracji...

„List do Czytelników" JERZEGO WAWRZAKA czytaj na str. 3

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

ANASTAS MIKOJAN

PRZECIW GŁODOWI

Anastas Iwanowicz Mikojan w latach 1917—1920 działał w Baku, a następnie — decyzją władz partyjnych — przeniesiony został do pracy w Niżnym Nowgorodzie. Wspomnienia z okresu swojej działalności w Baku i Niżnym Nowgorodzie Anastas Mikojan zamknął w opublikowanych w ZSRR pamiętnikach. Tom pierwszy wspomnień A. I. Mikojana ukazał się w 1971 roku i nosił tytuł „Szlakiem walki". Rozdziały tomu drugiego publikuje obecnie radziecka prasa, a przede wszystkim miesięcznik „Nowyj Mir".

Dziś publikujemy drugi fragment wspomnień Anastasa Mikojana z okresu walki z głodem. Pierwszy fragment pt. „GŁÓD" ukazał się w poprzednim numerze „Odgłosów".

Dalszy ciąg na str. 4

DWAJ Z „WIFAMY"

RYSZARD BINKOWSKI

Ludzie wchodzili do wąskich szybów studzienek, opuszczali się na głębokość 11 m i w półmroku, zaduchu, w przenikliwym zimnie lub duchocie, skrobali nagromadzone nieczystości. Długo nie wytrzymywali na dnie, niektórych trzeba było pośpiesznie wyciągać.

Dziś do takiej studzienki wpuszcza się rurę i tłoczy w nią pod ciśnieniem wodę. Woda płucze nieczystości i wyrzuca je na powierzchnię. Człowiek nie wdycha trujących, smrodliwych oparów. Oszczędza się jego zdrowie i... pieniądze. Tylko 8 tysięcy złotych rocznie, ale przecież człowiek jest najważniejszy.

Wie o tym **Tadeusz Kubiak**, który mimo „dobijania" do czterdziestki, ma głowę z fantazją, młodzieńczy wigor i wśród młodych czuje się najlepiej.

Kiedy w 1954 roku przywędrował do dużego miasta, czuł się trochę zagubiony. W fabryce też. Potężne hale „Wifamy", technika na każdym kroku, wielkie maszyny, koło których trzeba chodzić, jak przy zegarku. Każda część ważna, od każdego najmniejszego kółka zależy, jak w przyszłości będzie się pracować tkaczowi czy przędzalnikowi.

Kubiak rozumie ludzi. Sam wyszedł z biedy; jako półsierota, szczękając zębami z zimna i o głodnym brzuchu jeździł koleją z rodzinnego Koła do Kolejowego Liceum Mechanicznego w Kutnie, aby spełnić swoje szczenięce marzenia... Bo te różne „dłubanka" i majsterkowanie ciągnęły go od małego; lutownicę ojcu wyciągał ze skrzynki, „majstrował" metalowe klatki dla ptaków i reperował rowery wszystkim chłopakom z ulicy.

Ukończył liceum i zdobyte wiadomości jął sprzedawać młodszym w Szkole Zawodowej w Kole. Potem przyszła służba wojskowa w „pancernych". Do szkoły nie wrócił. W tamtych czasach, jako nauczyciel, mógł zarobić na chleb i paczkę margaryny...

Więc jak widział, że maszyny nawalają, to Kubiak, pracujący wówczas, jako ślusarz-monter, nie zaznał spokoju. Kładł się pod maszyną, zachodził z przodu, od tyłu, podpatrywał i kombinował: błąd musi gdzieś być, tylko trzeba go znaleźć. Albo konstruktor czegoś nie dopatrzył, albo jakiś element za słaby, a może felerna obróbka galwaniczna?...

Wreszcie udało mu się. Zaczął odnajdywać błędy, stawał się niejako współtwórcą maszyny. Za nim spróbowali inni. I tak rozpoczął się w „Wifamie" młodzieżowy ruch racjonalizatorski. A Kubiaka dlatego zaliczam do młodych, bo dziś wśród nich żyje i niejednemu przekaże coś ze swoich doświadczeń, a od niego też wszystko się zaczęło.

Racjonalizator jest tylko autorem projektu, który musi przejść długą drogę, zanim zostanie zastosowany w praktyce. Tymi sprawami zajmuje się od strony administracyjnej **Janusz Pawlikowski**, od dwóch lat kierownik sekcji wynalazczości w „Wifamie".

— **Tadeusz Kubiak opowiadał zapewne na wstępie** — mówi Pawlikowski — **o swoim usprawnieniu, związanym z „trującymi" studniami. I słusznie, bo w postępującej modernizacji trzeba przede wszystkim patrzeć na człowieka. Dlatego też duży nacisk kładziemy na wszelkie usprawnienia z zakresu bhp. Kubiak zaczynał od podpatrywania awaryjnych maszyn, a dziś pracuje w komórce „klimatyzacji i pomp wodnych". To najwłaściwsze dla niego miejsce. Dotychczas złożył 25 projektów, które w skali rocznej dają 400 tys. złotych oszczędności. Zmniej-**

Dalszy ciąg na str. 7

SZANSA MŁODYCH

PRZYPOMINAMY

KODEKS POSTĘPOWANIA ADMINISTRACYJNEGO

Art. 167 § 1. **Organ, któremu przekazana została skarga do załatwienia, powinien ją załatwić w ciągu dwóch miesięcy.**

Art. 172 § 1. **Wniosek powinien być rozpatrzony i załatwiony w ciągu dwóch miesięcy.**

Postanowienia te dotyczą również krytyki prasowej. Mówi o tym Art. 177 § 1 KPA:

„Artykuły, notatki i inne wiadomości opublikowane w prasie, których treść ma znamiona skargi lub wniosku i które przesłane zostały przez redakcję prasową do organu właściwego... podlegają rozpatrzeniu i załatwieniu jako skargi lub wnioski w trybie przepisów..."

Artykuły KPA przypominamy przy okazji kolejnych publikacji krytycznych:

KONRADA FREJDLICHA pod adresem gastronomii.

BOGDY MADEJ pod adresem PKP.

Artykuły te publikujemy na **str. 6**, gdzie również drukujemy list Czytelnika, krytykujący stosunki panujące w jednej z łódzkich restauracji.

ANDRZEJ GRUN FRYZURY

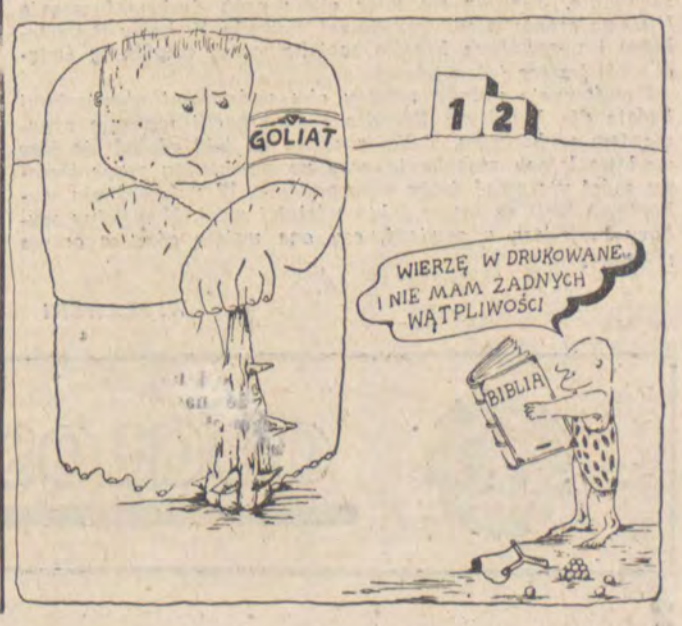

ZE ŚWIATA

Nagromadziło się wydarzeń co niemiara. Tym bardziej, że w ub. tygodniu nie komentowaliśmy aktualiów międzynarodowych. W rejestrze wydarzeń wiele miejsca zajmują polskie wizyty w zaprzyjaźnionych krajach oraz rozmowy w innych europejskich stolicach. Szczególne znaczenie miały w ostatnim okresie wizyty: partyjno-rządowej delegacji z Edwardem Gierkiem i Piotrem Jaroszewiczem w Bułgarii oraz przewodniczącego Rady Państwa na Węgrzech. Nieco wcześniej w NRD gościła delegacja polskiego Sejmu z Franciszkiem Szlachcicem. W trzech bratnich krajach toczyły się więc rozmowy o problemach współpracy i międzynarodowej sytuacji. Ich wspólnym mianownikiem jest konkretność — dążenie do dalszego zacieśnienia kontaktów przede wszystkim na polu ekonomicznym. Na spotkaniu z mieszkańcami Sofii I sekretarz KC PZPR mówił m. in.:

„Osiągnięty przez nasze kraje potencjał gospodarczy nie pozwala nam już ograniczać się jedynie do tradycyjnych form współpracy. Coraz większego znaczenia nabiera dla nas rozszerzanie wzajemnego współdziałania na nowe dziedziny, a przede wszystkim rozwijanie kooperacji przemysłowej i specjalizacji, współdziałanie w produkcji artykułów rynkowych, spożywczych i przemysłowych, podejmowanie wspólnych prac naukowych i technicznych".

Te słowa wypowiedziane zostały z myślą o stosunkach polsko-bułgarskich, ale problem jest szerszy, odnosi się do wszystkich krajów socjalistycznych i wyrażony został w kompleksowym programie socjalistycznej integracji, który przyjęła XXV sesja RWPG.

Karty kalendarza naszej aktywności politycznej zapełniły się w ostatnich dniach także rozmowami w krajach nie należących do naszej wspólnoty: w Danii, Belgii, Luksemburgu, gdzie również dyskutowano o ważnych dla Europy problemach. Kiedy więc będziemy bilansować bieżący rok — lista naszych bezpośrednich kontaktów okaże się obfitszą niż kiedykolwiek.

Tymczasem na świecie nadal w centrum zainteresowania utrzymują się trzy wydarzenia: zwłoka w zakończeniu wojny wietnamskiej, spowodowana nowymi żądaniami Sajgonu i uległością wobec nich Waszyngtonu oraz wybory w Stanach Zjednoczonych i Niemieckiej Republice Federalnej, poprzedzone osiągnięciem niezmiernie ważnego porozumienia z NRD. Wynik pierwszych znamy, drugie odbędą się w najbliższą niedzielę.

Zwycięstwo wyborcze Nixona nie jest niespodzianką. W okresie bezpośrednio poprzedzającym dzień głosowania — było ono już pewne. Oczekiwano dużej przewagi głosów, opowiadających się za Nixonem. Komentatorzy nie przypuszczali jednak, że tenże — przed czterema laty gruntujący swój sukces zaledwie ułamkiem procenta — teraz wpisze do 108-letniej historii amerykańskiego systemu wyborczego jedną z największych wygranych. Kiedy więc 18 grudnia zbiorą się w poszczególnych stanach elektorzy — z 538 głosów otrzyma on ponad 500.

Sukces kandydata republikanów nie może być jednak komentowany jako pełna aprobata wewnętrznej i zagranicznej polityki Waszyngtonu za kadencji Nixona. We wsparciu jego kandydatury wyraża się raczej n a d z i e j a społeczeństwa, że będzie on wprowadzał w życie tegoroczne porozumienia z ZSRR, nadal pozytywnie ewoluował politykę wobec Chin oraz, że — mimo wszystko — zapewni pokój w Indochinach. Pozytywnym dla Nixona elementem oceny sytuacji wewnętrznej było wyjście USA względnie obronną ręką z kryzysu dolara.

Nixon startował zresztą do kampanii wyborczej z pozycji uprzywilejowanej, ubiegając się o reelekcję ze stanowiska prezydenta, podczas gdy jego rywal — McGovern nie zapewnił sobie nawet jednomyślnego poparcia swej partii. Szanse nie były więc równe i przechylić je w kierunku kandydata partii demokratycznej mógł tylko jego program zakończenia wojny w Wietnamie. Ale ten atut wytrącił mu w ostatniej chwili Nixon przez uzgodnienie z DRW zasad porozumienia w sprawie przywrócenia pokoju. Dotkliwa porażka McGbverna nie jest więc porażką jego haseł, ale następstwem zręcznej gry wyborczej rywala.

Tymczasem w Europie doszło do n o w e g o f a k t u p o l i t y c z n e g o, jaki przyrównać można tylko do zawarcia układów NRF z ZSRR i Polską. Po prawie 2-letnich negocjacjach, prowadzonych na 60 posiedzeniach, parafowano układ o podstawach stosunków między obu państwami niemieckimi. Wejście tego układu w życie oznaczać będzie, że oba państwa uznają się wzajemnie, każde z nich respektować będzie niezależność i integralność terytorialną drugiego, że będą kierować się w swych stosunkach zasadami i celami Karty NZ.

Układ ten, dawno oczekiwany, potwierdza więc realia w środku Europy i stanowi milowy krok na drodze do bezpieczeństwa na naszym kontynencie. Jego parafowaniu towarzyszyło oświadczenie czterech wielkich mocarstw, że poprą wnioski obu państw niemieckich o przyjęcie ich do ONZ. Złożenie tego rodzaju deklaracji jest właściwie równoznaczne z zapowiedzią uznania NRD przez trzy mocarstwa zachodnie. Zamyka się więc okres prób dyskryminowania NRD na arenie międzynarodowej. Polityka Związku Radzieckiego i pozostałych krajów socjalistycznej wspólnoty święci swój jeszcze jeden triumf.

Parafowanie układu między obu państwami niemieckimi będzie dla kanclerza Brandta i jego partii ważnym argumentem wyborczym. Tylko realizm, na jaki zdobył się jego rząd po latach zamykania oczu na powojenną mapę Europy, mógł utorować drogę porozumieniu. W wyposażeniu wyborczym SPD są zatem fakty wielkiej wagi. Niedzielne wybory przyniosą odpowiedź, czy one wzięły górę w ocenie głosujących.

W. SŁAWSKI

Z KRAJU

■ *Cztery lata powstawał projekt Kodeksu Pracy. Dopiero jego osiemnasta wersja uzyskała pozytywną ocenę związków zawodowych i rządu. Obecnie projekt kodeksu d skutowany jest wstępnie w 150 dużych zakładach pracy. Oczywiście wiele uwagi poświęci mu zbliżający się Kongres Związków Zawodowych. Po Kongresie projekt kodeksu pracy będzie generalnie omawiany przez wszystkie środowiska zawodowe i pracownicze. Przewiduje się, że już w pierwszym półroczu projekt ustawy regulującej prawa i obowiązku 11 milionów pracujących wpłynie do Sejmu.*

Potrzeba kodyfikacji prawa pracy było od dawna postulatem numer jeden. Gąszcz przepisów, częsty brak synchronizacji między nimi, przestarzałość wielu przepisów obowiązujących jeszcze od okresu międzywojennego — to tylko kilka przyczyn. Jak obszerny jest to przy tym problem, może świadczyć liczba przeszło 100 układów zbiorowych i ok. 5 tysięcy protokółów dodatkowych powstałych w latach 1945—72.

Najważniejszy problem jaki rozwiąże nowy kodeks pracy to zniwelowanie różnic między robotnikami a pracownikami umysłowymi, którzy korzystają obecnie z nie zawsze społecznie uzasadnionych preferencji. Wiele w tym zakresie zrobiono w ostatnich latach, ale były to rozwiązania które tylko poprawiały i uzupełniały istniejący stan prawny.

ZAŁOŻENIA OBECNEJ KODYFIKACJI IDĄ W KIERUNKU JEDNOLITOŚCI PRAW I OBOWIĄZKÓW PRACOWNICZYCH, OPIERAJĄC SIĘ NA ZASADACH POWSZECHNOŚCI I KOMPLEKSOWOŚCI.

Do spraw związanych z projektem kodeksu pracy będziemy wracać systematycznie.

■ Cały nasz kraj uroczyście obchodził 55 Rocznicę Wielkiego Października. Ze Związku Radzieckiego przybyła delegacja z zastępcą przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRR Motejusem Szumauskasem. Społeczeństwo polskie oddało hołd pamięci bohaterów, bojowników Rewolucji oraz żołnierzy Armii Radzieckiej, którzy polegli na naszych ziemiach w walce z hitlerowskim najeźdźcą.

Podczas uroczystości w ambasadzie radzieckiej J. Szydlak, przewodniczący ZG TPPR powiedział m. in.: **„Sojusz z Krajem Rad — to podstawowa gwarancja bezpieczeństwa, współpraca z Krajem Rad — to jeden z najważniejszych czynników całego naszego dotychczasowego dorobku i dalszego socjalistycznego rozwoju Polski".**

■ Przemysł ciężki zrealizował pomyślnie zadania produkcyjne ubiegłych 10-ciu miesięcy, uzyskując dodatkową produkcję wartości ponad 6 mld zł tj. 3,5 procent więcej niż zakładano w planie. Dzięki temu gospodarka narodowa otrzymała dodatkowo m. in. 153 tys. ton stali, 140 tys. ton wyrobów walcowanych, 127 tys. ton koksu, 4 tys. km rur stalowych, ponad 8 tys. ton miedzi elektrolitycznej i ok. 6 tys. ton cynku. Produkcja przemysłu ciężkiego na potrzeby rynku, ustalona na poziomie 10 mld zł, również została przekroczona o wartość ok. 340 mln złotych.

■ Pomyślny jest tegoroczny, szacunkowy bilans przemysłu lekkiego. Istnieje realna szansa przekroczenia wartości dostaw towarów na rynek o 3,7 mld zł. Ogólna wartość dostaw wyniesie więc ok. 114,7 mld zł tj. ok. 10 mld zł więcej niż w roku ubiegłym. Na tak wysoką dynamikę wzrostu złożyły się wysiłki załóg zrzeszonych w MPL w ramach akcji „20 miliardów" oraz wcześniejsze osiąganie przez nowo wybudowane zakłady pełnej mocy produkcyjnej.

Na poprawę zaopatrzenia również duży wpływ mają zakupy z importu. W br. stanowić one będą ok. 8 proc. globalnych dostaw na rynek.

■ Tylko 90 proc. tej ilości nawozów co w ub. roku w analogicznym okresie zakupili rolnicy, mimo iż gminne spółdzielnie zaopatrzone są w pełny asortyment, a na życzenie odbiorców GS-y dowożą nawozy bezpośrednio do gospodarstwa. Nawet sezonowa obniżka cen (od 400 do 600 zł za tonę) nie wpłynęła na rolników zbyt mobilizująco.

■ Z udziałem H. Jabłońskiego odbyło się walne zebranie członków spółdzielni wydawniczej „Książka i Wiedza". Jak stwierdził prezes zarządu „KiW" Wiesław Bek, blisko 25-letni bilans edytorski spółdzielni zamyka się liczbą ok. 8,5 tysiąca tytułów o łącznym nakładzie ponad 250 mln egzemplarzy (w b.r. ukaże się ponad 250 tytułów o nakładzie ok. 10 mln egz.). Najważniejszymi problemami obrad były sprawy kolportażu książki oraz możliwość optymalnego wykorzystania bazy poligraficznej. Na zakończenie obrad walne zgromadzenie podjęło uchwałę o reorganizacji wydawnictwa, które od przyszłego roku wejdzie w skład RSW „Prasa — Książka — Ruch".

■ W Warszawie zakończyło się 4-dniowe seminarium rektorów szkół wyższych. Podczas obrad przedyskutowano zasady polityki w zakresie rozwoju nauki i techniki oraz aktualne zadania szkolnictwa wyższego. W toku seminarium zabrali głos członkowie Biura Politycznego KC PZPR — F. Szlachcic i J. Szydlak, omawiając problemy polityki społeczno-gospodarczej i role nauki w realizacji uchwał VI Zjazdu PZPR.

■ W pełnym toku trwają prace nad historią polskiej dyplomacji. W skład rady redakcyjnej wchodzą wybitni naukowcy z wielu ośrodków akademickich, przewodniczy jej min. S. Olszowski. Komitetem redakcyjnym kieruje prof. Gerard Labuda. „Historia polskiej dyplomacji" składać się będzie z 4 tomów. Nad każdym pracują równolegle oddzielne zespoły tak, że całość będzie można wydać jednocześnie.

■ „Trybuna Ludu" kontynuuje bardzo ciekawy i pożyteczny konkurs — ankietę pod nazwą „Sukcesy nauki radzieckiej". Na wniosek redakcji i PAN, Akademia Nauk ZSRR opracowała listę 10-ciu największych osiągnięć współczesnej nauki radzieckiej. Do prezentowania każdego z tych osiągnięć redakcja zaprosiła najwybitniejszych uczonych polskich.

A przy okazji: „Trybuna Ludu" jako jedyna gazeta codzienna drukuje poezje. Dobry to, chociaż niestety zarzucony w ostatnich latach, zwyczaj. Chciałoby się wierzyć, że przykład **TL** nie pozostanie bez echa.

■ Wiemy już prawie wszystko o „Fiacie 126p". Nowy polski samochód na licencji włoskiej będzie produkowany już od przyszłego roku w Fabryce Samochodów Małolitrażowych w Bielsku. Jest nowoczesny, ekonomiczny i bezpieczny — i co ma swoje znaczenie — ładny! Wszystkie „recenzje" dziennikarzy, którzy nie tylko oglądali lecz również odbyli jazdy próbne są entuzjastyczne, ale chyba nie przesadzone.

Razem z nowym samochodem wprowadzono znaczącą innowację. „Fiata 126p" będzie można kupić za 69 000 zł, **wyłącznie** w systemie oprocentowanych przedpłat. Bardzo słusznie.

J. ŻAK

W POBLIŻU

■ 55 LAT WIELKIEGO PAŹDZIERNIKA. Z okazji 55 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej w Łodzi i województwie łódzkim odbyło się wiele różnorodnych uroczystości. Egzekutywy KW i KŁ PZPR spotkały się z weteranami ruchu robotniczego. Odbył się uroczysty koncert, złożono wieńce na grobach żołnierzy radzieckich.

Kierownictwa władz państwowych i partyjnych Łodzi i województwa łódzkiego skierowały do społeczeństw bratnich miast radzieckich serdeczne życzenia i braterskie pozdrowienia. Łódź przesłała pozdrowienia do Iwanowa, a Ziemia Łódzka — społeczeństwu Ziemi Smoleńskiej.

■ W NIEZGODZIE Z PROJEKTEM pozostaje w województwie łódzkim 8 przedsiębiorstw oddanych do użytku, bądź zmodernizowanych w latach 1970—1972. Wydział Ekonomiczny KW PZPR w Łodzi w 18 przedsiębiorstwach dokonał analizy projektowanych możliwości produkcyjnych i ich wykorzystania w praktyce. Wyniki tej analizy przedstawiono do oceny Egzekutywie KW PZPR. Okazało się, że w wielu przedsiębiorstwach budowanych lub modernizowanych ostatnio wprowadzono technologie bądź to przestarzałe, bądź nie dokładnie sprawdzone przed praktycznym zastosowaniem. W innych jeszcze przypadkach zawiodła lokalizacja. Duże fabryki zbudowane w rejonach bez robotniczych tradycji cierpią na chroniczny brak specjalistów, co ujemnie odbija się na wynikach pracy tych przedsiębiorstw.

Egzekutywa KW PZPR zaleciła prowadzenie dalszej analizy wykorzystywania projektowanych zdolności produkcyjnych w przedsiębiorstwach województwa łódzkiego, której wyniki powinny pomagać załogom w przezwyciężaniu trudności i zwiększaniu produkcji.

■ NA BUDOWIE. W czwartym kwartale br., który dla budowlanych zawsze oznaczał okres niezwykle intensywnej, niemal szturmowej pracy, pozostało do oddania 9,800 izb. Obecnie brakuje do wykonania planu prawie tysiąc izb. Nic więc dziwnego, że budowlani znów przystąpili do niezwykle intensywnej pracy, aby tylko móc wykonać roczny plan i dać łodzianom te mieszkania, do zbudowania których zobowiązali się na początku roku.

Gorzej będzie jednak z tzw. budownictwem towarzyszącym, a więc sklepami, żłobkami, pawilonami usługowymi itp. Już sama nazwa „budownictwo towarzyszące" charakteryzuje stosunek wielu przedsiębiorstw do tego typu budownictwa. A jest ono przecież dla mieszkańców nowych osiedli sprawą nader ważną. Powiedziałbym nawet tak samo ważną, jak mieszkania. Tymczasem z różnych powodów — jak to stwierdzono na ostatnim posiedzeniu Prezydium RN m. Łodzi — miasto nie otrzyma w tym roku 5 pawilonów usługowych. Nie wiadomo też, czy otrzyma 5 budowanych sklepów. Ogółem miano w tym roku wybudować 26 sklepów. Jedenaście jest już gotowych, reszta — na etapie prac wykończeniowych, z wyjątkiem owych 5 wątpliwych, których najprawdopodobniej zabraknie do wykonania planu.

Mało zrobiono w tym roku w czynach społecznych. Plan rzeczowy remontów w budynkach mieszkalnych wykonano do końca września br. tylko w... 37 proc.

■ PIERWSZE W ŁODZI zakładowe muzeum powstało w Przędzalni Czesankowej im. Gwardii Ludowej. Przed wojną były to zakłady Allarta i Rousseau'a, zwane też „Czerwonymi Francuzami". Powstały w 1878 roku. W zakładowym muzeum zgromadzono wiele cennych dokumentów, obrazujących dzieje fabryki i jej załogi. Są tam m. in. zdjęcia członków pierwszej zakładowej komórki KPP, dokumenty o strajkach i innych formach walki z kapitalistycznym wyzyskiem. Są też dokumenty obrazujące dzieje fabryki po wojnie i jej sukcesy produkcyjne z ostatnich lat.

■ WODKA W TEATRZE — tak można byłoby nazwać ostatni program Teatru Ziemi Łódzkiej. Zatytułowano go „Wódko, wódeczko", a jego autorem jest Andrzej Jarecki. W widowisku wykorzystano teksty pijackich piosenek, ilustrując je materiałem publicystycznym. W efekcie wyszła gorzka satyra na nasze pijaństwo.

■ NOWE PISMO. Jest nim dwutygodnik: „Czasopismo techniczne dla mistrzów i wykwalifikowanych robotników przemysłu lekkiego". Z datą 1 listopada br. ukazał się pierwszy numer pisma. W artykule wstępnym Redakcja tak określa zadania nowego pisma:

„Jednym z głównych zadań naszego czasopisma jest dostarczanie Czytelnikom wiedzy technicznej, podnoszenie kultury technicznej oraz podwyższanie kwalifikacji zawodowych".

Pismo, którego wydawcą jest NOT, otrzymało tytuł: „Wiadomości Produkcyjne — Włókno — Odzież — Skóra".

■ SPORT. Międzynarodowy występ trzech piłkarskich drużyn: chorzowskiego „Ruchu", warszawskiej „Legii" i „Górnika" z Zabrza srodze rozczarował kibiców. Cóż z tego, że piłkarze walczyli dzielnie, skoro do dalszych pucharowych rozgrywek awansowali ich przeciwnicy. I tak spisali się piłkarze, których reprezentacja jest złotym olimpijskim medalistą.

Tuż przed klęską „Ruchu" w Dreźnie z chorzowską jedenastką zmierzyli się piłkarze ŁKS. Spotkanie to wywołało istną burzę. Ktoś nawet wyraził się, że „mecz wygrał sędzia Świstek z Rzeszowa". Była to subtelna aluzja do żółtych i czerwonych kartek, jakimi dość szczodrze szermował na chorzowskim boisku, pokazując je przede wszystkim — jak twierdzą obserwatorzy — piłkarzom ŁKS.

Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak było istotnie, ale też bym „nie wieszał psów" na biednym p. Świstku. Przeciwnie, byłbym skłonny uznać go za bohatera, który postanowił ustrzec drużynę „Ruchu" przed ewentualnymi kontuzjami. Trzeba bowiem w przyszłości zastanowić się, czy drużyny broniące honoru polskiego piłkarstwa na międzynarodowych boiskach muszą grać w ligowych meczach tuż przed pucharowymi spotkaniami?

W hałasie, jaki powstał wokół kartek pana Świstka zapomniano o innych bohaterach, a tymczasem obok remisu piłkarzy ŁKS sukcesami mogą pochwalić się koszykarki ŁKS, siatkarki „Startu" i piłkarze ręczni „Anilany". Tylko o hokeistach ŁKS nie da się powiedzieć nic dobrego.

Myślę, że obok zainteresowania piłką nożną dobrze byłoby też pamiętać, że w Łodzi mamy inne — czasem nawet mistrzowskie — drużyny, innych dyscyplin. Osobiście życzę im wiele dalszych sukcesów.

M. RODAK

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KAROL BADZIAK, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), MAREK WAWRZKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji).

Na tej stronie, od pewnego czasu drukujemy Wasze listy. Tym razem postanowiliśmy zwrócić się z listem do Was, a skłaniają ku temu ważne powody, chociaż dość różnej natury.

Nie wszystkie Wasze listy możemy, niestety, wydrukować ze względu na skromną objętość naszego tygodnika. Gorzej, bo nie wszystkie Wasze życzenia i postulaty możemy zrealizować. Przyznam jednak szczerze, że często się z Wami nie zgadzamy. I stąd również potrzeba rozmowy. Chciałbym więc zwięźle przedstawić nasze poglądy na rolę tygodnika społeczno-kulturalnego. Wspomnieć również o zmianach, jakie próbujemy wprowadzać do ukształtowanego w przeszłości modelu „Odgłosów".

LIST DO CZYTELNIKÓW

Właśnie te zmiany, może nie najważniejsze, ale ważne, wzbudziły wiele kontrowersji. Drukowaliśmy Wasze listy, często bardzo ostro nas atakujące. Sądzę, że zauważyliście, iż wyciągnęliśmy z tych opinii wnioski, chociaż generalnie nie zmieniliśmy poglądu na sposób łamania pisma i jego szatę graficzną. Bo tak jak i Wy, nie uważamy tej sprawy za błahą.

Dotychczas „Odgłosy" uchodziły w opinii niektórych Czytelników, a nawet specjalistów od prasoznawstwa, za magazyn. Trudno wydać na ten temat sąd jednoznaczny. Dużo zdjęć w całym numerze, zdjęcie większego formatu na pierwszej stronie — mogło sugerować taki charakter pisma. Odstąpiliśmy od takiego zwyczaju, chociaż nie jesteśmy wrogami fotografii. Nie chcemy jednak konkurować (wiadomo z góry, że bez powodzenia) z „Perspektywami" czy „Panoramą". Uważamy, że zdjęcie jest tylko, obok względów estetycznych, dodatkiem, akcentem, czasami uzupełnieniem do prezentowanych tekstów. Oczywiście zawsze można się spierać o proporcje, o znalezienie takiego kształtu plastycznego, który byłby zgodny z naszym założeniem, a jednocześnie pozwalał na robienie pisma żywego, nie tylko do czytania, lecz i w pewnym sensie — oglądania. W związku z tym będziemy chcieli co jakiś czas reprodukować więcej grafiki i poświęcać więcej miejsca sprawom bardzo ciekawej, łódzkiej plastyki.

Przy tej jednak okazji wspomnę, że te dość proste zabiegi spowodowały zwiększenie tekstu drukowanego o wielkość odpowiadającą około 15 stronom maszynopisu. Nie jest to chyba drobiazg i głównie Czytelników mieliśmy na uwadze, wprowadzając ograniczenia w materiale ilustracyjnym.

Również inny niż dotychczas sposób łamania pisma, a szczególnie pierwszej strony, nie był sztuką dla sztuki. Podjęliśmy ryzyko narażenia się Czytelniczym przyzwyczajeniom i w miejsce bardzo statycznego schematu, powielanego z tygodnia na tydzień, **przyjęliśmy zasadę składu dynamicznego, elastycznie dostosowanego do treści aktualnie prezentowanego materiału.** Nie chcemy również stracić z pola widzenia sprawy podniesienia atrakcyjności pisma, które często nie wyróżniało się niczym odrębnym w powodzi innych tytułów. Zapytany niedawno zostałem, kiedy wreszcie skończymy z tymi eksperymentami? Odpowiedziałem, że to już ostatnia zmiana... przed następną. Ale mówiąc poważniej, chcemy na jakiś czas pozostać przy modelu, który aktualnie prezentujemy.

Zwracając się jednak z listem do **P.T. Czytelników,** chciałbym pomówić z Wami o sprawach znacznie ważniejszych, a więc nie formalnych tylko merytoryczno-treściowych i modelowych pisma. Przypuszczam, że to jest najważniejsze dla naszych Czytelników. Dla członków zespołu redakcyjnego — sprawa wagi, siły oddziaływania, znaczenia publikowanych materiałów, wzrost rangi pisma — to kwestia nawet, czegoś więcej niż zawodowych ambicji. **Bo praca w zawodzie dziennikarskim, to prawie sposób bycia, potwierdzany stałą obecnością w tyglu społecznych przemian.**

Wychodzimy z dwóch elementarnych założeń, chociaż ich świadomość na co dzień nie jest tak znów powszechna. Uważamy, że nasz Czytelnik nie czyta tylko „Odgłosów", jak czytelnik „Polityki" nie poprzestaje na tym (zresztą znakomitym) piśmie. Takiego pisma, które może zaspokoić wszystkie „potrzeby czytelnika" nie ma i być nie może, nawet, gdyby miało objętość dziesięciokrotnie większą niż to się obecnie praktykuje. Po drugie — zdajemy sobie sprawę, że naszym adresatem jest mieszkaniec Łodzi i Ziemi Łódzkiej, że jesteśmy tygodnikiem regionalnym. **Zastrzegając się, że regionalizm rozumiemy w najlepszym tego słowa znaczeniu, uważając, iż ważne i dobrze zaprezentowane problemy naszego makroregionu mogą mieć walor ogólnopolski i być również interesujące dla mieszkańców innych miast i województw.**

Sądzę, że nasi Czytelnicy już zauważyli, iż wyciągnęliśmy praktyczne wnioski z powyższych założeń. Wprowadziliśmy np. rubrykę **„W pobliżu"**, więcej publicystyki i reportażu, właśnie z n a s z e g o pobliża, co oczywiście nie znaczy, że nie mamy zamiaru włączać się do tematów podejmowanych przez prasę centralną, jak też (dla przykładu) rezygnować z repertuaru zagranicznego. Oczywiście jest to sprawa dość skomplikowana i tych proporcji nie da się wymierzyć centymetrem, raz na zawsze. Są przecież w pewnych okresach tematy, sprawy, których doniosłość wymaga poświęcenia im szczególnej uwagi. Obecnie jest to cykl **„50 lat ZSRR"**, rok przyszły, jak wiadomo, jest **ROKIEM NAUKI POLSKIEJ.**

Powiedziałem wcześniej, że jesteśmy **pismem dla Łodzi i Ziemi Łódzkiej,** ale jest to w tej chwili raczej stwierdzenie formalne lub nasze pobożne życzenie. Liczby w tym wypadku mają jednoznacznie negatywną wymowę. Tylko 10 procent naszego nakładu rozchodzi się na terenie województwa łódzkiego. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest fakt, że mało publikowaliśmy materiałów bezpośrednio dotyczących województwa. Skierowanie większej niż dotychczas uwagi na ten rejon, nie powinno kolidować z tematyką łódzką, ponieważ mieszkaniec miasta również chce wiedzieć, co dzieje się za administracyjną miedzą. I odwrotnie. Np. **życie kulturalne Łodzi,** które na naszych łamach oceniamy, prezentujemy — recenzje z przedstawień teatralnych, filmów, wystaw, recenzje książkowe — to życie kulturalne trudno sobie wyobrazić bez aktywnego uczestnictwa mieszkańców województwa. Są to fakty, które można sprawdzić naocznie, przechodząc wieczorem np. koło Teatru Wielkiego. Ile tam autokarów z rejestracją nawet najbardziej odległych powiatów. Obok kultury jest zresztą wiele tematów „wspólnych", jak problemy **turystyki i wypoczynku, sportu, budownictwa, komunikacji itp.** Jest wreszcie sprawa publicystyki o charakterze ogólnym, reportażu zagranicznego, informacji z innych ośrodków kraju, które jednakowo interesują (lub nie, jeśli się autorowi nie uda) wszystkich. I to jest chyba najważniejsze w tym „integracyjnym" zamyśle.

Jak Państwo zauważyliście, poświęcamy wiele miejsca reportażowi i publicystyce, bo wydaje się nam, że to właściwa droga, czy sposób **najlepszego ataku na problemy naszej współczesności. Ataku w sensie konstruktywnej krytyki i jednocześnie afirmacji zjawisk i ludzi, którzy są tego godni.** Chcemy robić pismo na **tak,** jesteśmy przeciwni krytyce, z której nic nie wynika i którą łatwo można utożsamić z negacją. Będziemy przy tym reagować ostro na wszelkie przejawy zła, tego wszystkiego, co jeszcze zaciemnia obraz naszej socjalistycznej rzeczywistości. A więc biurokracja, złodziejstwo i marnotrawstwo, karierowiczostwo i brak społecznej dyscypliny, chałtura i brakoróbstwo, tandeta i bezduszność we wszelakich odmianach...

Łódź po okresie słabej dynamiki w swoim rozwoju weszła w czas swej życiowej szansy. Jej, już częściowo zmaterializowanym hasłem jest **PROGRAM MODERNIZACJI I REKONSTRUKCJI ŁODZI.** Chcemy towarzyszyć realizacji tego programu nie tylko w momentach przecięcia wstęgi z okazji wybudowania jakiegoś obiektu, lecz na co dzień. Szansa Łodzi jest przecież również szansą każdego z nas, jest sprawą na długie lata — najważniejszą, bo czas biegnie oszałamiająco szybko, nieodwracalnie i nie wolno go nam zmarnować.

Oczywiście nie chciałbym być zrozumiany, że inne sprawy, np. nazywane ogólnie „kulturowymi", spychamy na margines. Nie, chodziło mi tylko o podkreślenie priorytetów, zasadniczych kierunków. **Posiadamy przecież w naszym mieście środowisko literackie, plastyczne, teatralne, muzyczne, filmowe, środowiska liczne i liczące się w skali krajowej, wywierające wpływ na oblicze miasta. Mamy znaczące środowisko naukowe, wyższe uczelnie z tysiącami studentów. Chcemy podejmować wysiłki na rzecz integracji tych środowisk twórczych, być chociażby skromnym współorganizatorem i współpartnerem takich poczynań, które aczkolwiek są niezbędne, nie przedstawiają się obecnie najlepiej. Pragniemy nie tylko oceniać dorobek tych środowisk, ale też prezentować liczące się dokonania jak również umożliwiać zabieranie głosu na naszych łamach samym twórcom i naukowcom.**

Rozpoczęliśmy **„Szansę młodych"**, bo sprawa młodzieży szczególnie jest nam bliska. Po zakończeniu cyklu chcemy się spotkać ze wszystkimi bohaterami naszych publikacji i „podsumować" ich szanse. Liczymy, że będzie to ciekawa i pożyteczna rozmowa, której stenogram zamieścimy na łamach „Odgłosów".

Razem z ZŁ ZMS i Spółdzielnią Mieszkaniową „Bawełna" organizujemy konkurs na „opisanie życia w nowym osiedlu mieszkaniowym" (regulamin konkursu w nr 45) — spodziewając się bezpośrednich, szczerych wypowiedzi na temat, bez przesady, wzbudzający powszechne zainteresowanie.

W najbliższym czasie powtórzymy tradycyjny plebiscyt **„Łodzianie Roku"**, w którym przy decydującym udziale Czytelników chcemy przedstawić i spopularyzować ludzi najbardziej zasłużonych dla Łodzi.

Interesuje nas wiele środowisk. W październiku poświęciliśmy 4-stronicowy dodatek WSPÓŁCZESNEJ SZKOLE, ale nie był to okolicznościowy gest z okazji Dnia Nauczyciela. Sprawą kształcenia i wychowywania najmłodszego pokolenia Polaków wymaga stałej uwagi.

Mamy również świadomość, że pismo nasze ukazuje się w **mieście kobiet,** stolicy polskiego włókiennictwa, w mieście przyszłości, a jednocześnie pięknej, utrwalonej w świadomości mieszkańców tradycji walk politycznych i społecznych.

Rejestr zjawisk, problemów, spraw ważnych i najważniejszych jest obszerny, jak samo życie. Możliwości nasze są skromne, stąd i potrzeba maksymalnego ich wykorzystania.

Przedstawiłem powyższe poglądy w sposób ogromnie skrótowy i niepełny. Zmartwień nam nie brakuje i ciągle przybywają nowe. Chcemy się z nimi spróbować, ale zdajemy sobie sprawę, że siłami zespołu i stałych współpracowników nie dokonamy wiele. Stara to prawda, że **Czytelnicy redagują gazetę. Chcielibyśmy się też do tej zasady odwołać. Wasze listy, uwagi, spostrzeżenia i propozycje mogą nam pomóc w realizacji tych wspólnych celów. Nie chcemy, żebyście tylko czytali nasze reportaże, felietony, artykuły publicystyczne, przyglądali się biernie naszym, nie zawsze udanym, inicjatywom. Nie zależy nam również na grzecznościach i komplementach, lecz rzeczowej krytyce, ocenie i inspiracji, byśmy naprawdę mogli być pismem, które redagowane jest dla Was, jak również w W a s z y m imieniu.**

JERZY WAWRZAK

DUŻO, ALE CZY SKUTECZNIE?

Pisze się u nas i mówi ostatnio o usprawnieniach w pracy administracji. Powołuje się specjalne komisje, które prowadzą badania, dyskutują, uogólniają i radzą, a skutków tego jakoś nie widać. Przeczytałem kiedyś w gazetach, że przy różnych okazjach urzędowych nie będzie potrzeba tyle załączników i zaświadczeń. Pomyślałem sobie — dobrze. Mniej będzie chodzenia, czekania, pisania. Łatwiej i prościej można będzie to i owo załatwić. Tak sobie myślałem, ale tylko do chwili, w której zetknąłem się z urzędem.

Mieszkam w domu, który podlega rozebraniu, gdyż w tym miejscu już w niedługim czasie stanie duży wieżowiec. Miejsce pod ten wieżowiec zabiera spółdzielnia, a w zamian za to daje mi mieszkanie. Zamiana prosta, korzystna i dla mnie i dla miasta. Ale abym mógł zostać członkiem spółdzielni i dostać nowe mieszkanie, muszę wykazać się zaświadczeniem, które stwierdzałoby urzędowo, że dom, gdzie teraz mieszkam będzie rozebrany. Poszedłem do DRN, która tylko takie zaświadczenie może wydać. Myślałem, że powiem — poświadczcie o rozbiórce domu, a oni szybko wypiszą druczek i po całej zabawie. Ale nie.

— Proszę napisać podanie — powiedziała urzędniczka.

— Po co?

— Abym mogła wydać panu zaświadczenie.

Napisałem. Złożyłem. Opłaciłem znaczki skarbowe. Kazano mi przyjść następnego dnia. Przyszedłem i zaświadczenie dostałem. Gotów jestem opłatę skarbową zapłacić, bo taki już zwyczaj. Znaczki można nakleić na zaświadczeniu. Tylko po co to podanie? A przecież miało być prościej i łatwiej. Dlatego nie wierzę w komisje.

KSAWERY LIPIŃSKI

POWSZEDNIE DNI SEJMU

Jestem uważnym czytelnikiem prasy codziennej i tygodniowej i dochodzę do wniosku, że bardzo często pewne tematy, jak to się mówi, „chodzą stadami". Kiedy tylko zbliża się kampania wyborcza do rad narodowych i Sejmu wtedy w całej prasie wiele pisze się o Sejmie i roli posła. Później prasa ogłasza komunikat wyborczy i temat ten znika z łamów. Myślę, że byłoby też ciekawie dowiedzieć się, jak pracuje Sejm PRL i posłowie na Sejm w czasie kolejnej swojej kadencji. O tym jednak mało w prasie. „Trybuna Ludu" tylko systematycznie informuje o pracy komisji sejmowych, relacjonuje przygotowywane postanowienia.

Sądzę, że nie ja jeden odczuwam brak informacji o powszednim dniu Sejmu. Obserwuję, że „Odgłosy" zmieniają nie tylko szatę graficzną, ale starają się sięgać po nowe tematy i penetrować nowe rejony naszego życia. Więc odważyłem się napisać, proponując, abyście zajęli się i tym tematem. Wiele mówi się u nas o współodpowiedzialności za losy kraju. Posłowie są naszymi reprezentantami, sprawują władzę z naszego upoważnienia. Byłoby więc chyba dobrze, gdybyśmy wiedzieli o ich pracy więcej a nie tylko dowiadywali się o tym z okazji zbliżających się wyborów.

ZENON TARKOWSKI

ŚWIATŁA NAD PIOTRKOWSKĄ

Co już o tej naszej Łodzi nie powiedziano i napisano, że „duża wieś", że brzydkie i niewdzięczne miasto, że była „ziemią obiecaną". Nazywano ją polskim Manchesterem i stale się powtarza, że jest drugim c o d o w i e l k o ś c i miastem Polski. Moim zdaniem jest po prostu drugim miastem w kraju, czy komuś to się podoba czy nie. I jest miastem rodzinnym wielu tysięcy Polaków. My, łodzianie — właśnie dlatego, że to jest nasze miasto — chcemy, aby Łódź była ładna, aby była atrakcyjna dla wszystkich, którzy tu przyjadą, aby im się spodobała i aby chcieli tu znów przyjechać.

Cieszy nas wszystko, co w Łodzi robi się dla jej upiększania. W czasie lipcowego zlotu założono na ul. Piotrkowskiej kolorowe lampeczki. Paliły się przez kilka dni i potem zgasły na długie miesiące. Ostatnio — w jesienne wieczory — znów zapłonęły nad ul. Piotrkowską. Jednym to się podoba, bo kolorowo, wesoło i przyjemnie. Innym — nie, bo — według nich — odpustowo i małomiasteczkowo. Nie dyskutujmy może nad tym. Proponuję po prostu, aby lampki paliły się nie tylko jesienią i nie tylko z takich czy innych okazji. Zakładanie nowych neonów jest kosztowne. Potrzeba na to czasu i pieniędzy. Więc dlatego proponuję — niech kolorowe lampeczki nad ul. Piotrkowską rozjaśniają mrok każdego wieczora i niech palą się, aby było weselej i przyjemniej.

Myślę też, że takie iluminacje — choć wiem, że to też kosztowne — powinny powstać i w innych miejscach Łodzi. Może w niektórych centrach nowych osiedli. Na całym świecie jest zwyczaj iluminowania miast z okazji świąt Bożego Narodzenia lub Nowego Roku. Na ul. Piotrkowskiej takie iluminacje już mamy. Pomyślmy o wesołych kolorowych światłach i w innych częściach miasta. Niech rozjaśniają mrok i cieszą ludzi.

KAZIMIERZ NAWROCZYŃSKI

ANASTAS MIKOJAN

PRZECIW GŁODOWI

Trudości ciągle jednak wzrastały. Latem 1921 roku brak żywności osiągnął punkt kulminacyjny. Z ciężkim sercem trzeba było zastosować dodatkowe ograniczenia.

9 lipca 1921 roku wszystkim komitetom powiatowym i gminnym została przekazana rezolucja Komitetu Gubernialnego dotycząca redukcji zakładów przemysłowych w gubernii. W rezolucji zaznaczono, że szczegółowy plan redukcji według gałęzi przemysłu, jak również wykaz zakładów, które mają zostać przekazane w dzierżawę spółdzielniom robotniczym i prywatnym przedsiębiorcom powinny być zatwierdzone przez Gubernialną Konferencję Ekonomiczną. W pierwszym rzędzie należało koniecznie zredukować ilość zakładów chemicznych, włókienniczych i skórzanych, gdzie dodatkowo dawał się odczuć kompletny brak surowców. Komitet Gubernialny zwracał uwagę, że redukcję przeprowadzać należy z maksymalną ostrożnością i rozwagą, zaś aby zapobiec komplikacjom, należy wszystkie poczynania związane z redukcją uzgadniać z Gubernialną Radą Związków Zawodowych i poszczególnymi związkami zawodowymi.

Uważaliśmy, że zakłady, które są nierentowne powinny zostać przekazane spółdzielniom, zespołom robotniczym, a nawet osobom prywatnym.

Wiele wysiłku kosztowała nas walka ze skutkami suszy, pomagaliśmy wsi czym tylko było można.

Wybiegając nieco naprzód powiem od razu, że niestety również i wiosną roku następnego zaopatrzenie w ziarno siewne tych rejonów, które najbardziej ucierpiały na skutek suszy, przysparzało dużo trudności. Mogło się zdawać, że nie ma już wyjścia z tej sytuacji. A tymczasem w magazynach gubernii leżało jare ziarno siewne znajdujące się w gestii władz centralnych i dysponować nim bez zgody stolicy nie mieliśmy prawa.

Zinwentaryzowaliśmy wszystkie miejscowe zapasy zboża, zebraliśmy w całej guberni wszystko, co tylko się dało i stwierdziliśmy, że jest tego o wiele za mało by zaspokoić minimalne nawet potrzeby kampanii siewnej.

Było oczywiste, że bez poważnej pomocy władz centralnych nie damy sobie rady.

Wiedząc, że Ludowy Komisariat Żywienia nie zgodzi nie na wydzielenie ze swoich rezerw ziarna siewnego dla naszej gubernii postanowiliśmy w tej wyjątkowej sytuacji zwrócić się do Biura Politycznego KC z prośbą o przeznaczenie części zboża zarezerwowanego przez Komisariat Żywienia na kampanię siewną w Niżegorockiej gubernii.

Wkrótce otrzymaliśmy pozwolenie na wzięcie z tych zapasów 200 tysięcy pudów ziarna. Bez tej realnej pomocy władz centralnych nie mielibyśmy czym obsiać południowo-wschodnich terenów i znów groziłby nam brak chleba, w danym wypadku wskutek niedostatecznych zasiewów, a nie na skutek suszy.

10 lipca 1921 roku wystąpiłem na gubernialnym miast i ze wszech miar wzmóc wymianę towarową ze wsią, głównie na zboża.

Zupełnie nieoczekiwanie przy końcu lipca 1921 roku przyszła decyzja KC partii o mojej nominacji na pełnomocnika WCIK do spraw dostaw obowiązkowych na terenie naszej guberni z jednoczesnym wezwaniem mnie do Moskwy w trybie natychmiastowym.

W Moskwie zameldowałem się u Ciurupy, który będąc komisarzem i jednym z trzech zastępców Lenina zajmował się wtedy wszystkimi problemami aprowizacyjnymi, w tym również dostawami obowiązkowymi.

...Przede mną stał wysoki, bardzo szczupły mężczyzna. Włosy miał już siwawe. Był o wiele starszy ode mnie. Ciurupa przywitał mnie miłym uśmiechem i zaczął od drobiazgowego wypytywania o sytuację żywnościową w guberni. Pytał, jak nam idzie odbiór podatku w naturze. (Wtedy właśnie podjął decyzję o wysłaniu lepszej mąki do Niżniego Nowgorodu, o czym już pisałem). Następnie Ciurupa krótko wytłumaczył na czym polega moje zadanie, jakie mam prawa i obowiązki jako pełnomocnik do spraw podatku...

Był oszczędny w słowach, lecz bardzo jasno i zrozumiale wypowiadał swoje myśli. Widać było, że jest to człowiek mądry, erudyta w wielu dziedzinach, inteligentny w pełnym tego słowa znaczeniu. Ciurupa wzbudzał sympatię jakimś szczególnym urokiem osobistym, umiejętnością słuchania rozmówcy, niezwykłym spokojem, równowagą ducha, opanowaniem... Pożegnałem się z nim, zachowując bardzo przyjemne wrażenie po tym pierwszym spotkaniu.

Po dwóch dniach znów wróciłem do Niżniego i przekazawszy towarzyszom informacje o swojej rozmowie z Ciurupą, zająłem się bieżącą robotą Gubernialnego Komitetu Żywieniowego i jego komisarzy w powiatach i gminach. Musiałem często wyjeżdżać w teren, kontrolować odbiór dostaw obowiązkowych, przedsiębrać kroki dla likwidacji błędów w pracy...

Oczywiście, niemałą pomoc okazywali mi towarzysze z terenowych komitetów partii i rad. W rezultacie jednak po upływie ośmiu miesięcy w referacie sprawozdawczym na XIII konferencji partyjnej miałem pełne prawo powiedzieć, że „...główny wysiłek skierowaliśmy na zorganizowanie dostaw obowiązkowych. Wykonano je u nas w 93 procentach, podczas gdy w innych, lepiej sytuowanych guberniach plan dostaw wykonano zaledwie w 75 procentach".

Tłum: SABINA NOWICKA-KOCZNOW

Dalszy ciąg ze str. 1

* ★ *

Susza i nieurodzaj ogarnęły Niżegorocką gubernię, a szczególnie sześć południowo-wschodnich powiatów, właśnie tych, które stanowiły naszą bazę zbożową.

Ograniczone dotąd przydziały żywności dla robotników stały się obecnie tym bardziej skąpe, a do tego czasami wydawano je niepełne. Wrogi element — eserzy, mieńszewicy i ich pachołkowie — na wszystkie sposoby wykorzystywał sytuację prowadząc wśród ludności zjadliwą propagandę antyradziecką i podjudzając robotników przeciwko miejscowym władzom partyjnym.

Dochodziło do tego, że z powodu trudności aprowizacyjnych niektóre wydziały, a nawet całe zakłady przerywały pracę.

W czerwcu 1921 roku omawiając na egzekutywie Komitetu Gubernialnego sytuację, jaka wytworzyła się w gubernii zmuszeni byliśmy uciec się do ostatecznych środków i podjęliśmy następującą uchwałę:

„Wobec katastrofalnego stanu zaopatrzenia zakładów w żywność i opał i rosnącego niezadowolenia mas robotniczych z powodu głodu, a także wobec tendencji powrotu na wieś robotników pochodzących ze wsi, co staje się tłem rozruchów i ułatwia propagandę mieńszewikom i eserom, zezwala się na tymczasowe urlopy dla głodujących robotników na okres od dwóch tygodni do dwóch miesięcy drogą czasowej redukcji, a w ostatecznym wypadku nawet zamknięcia zakładów, z tym, że skąpe zapasy żywności zostaną skoncentrowane i przeznaczone na zaopatrzenie najbardziej ważnych zakładów".

ОРУЖИЕМ МЫ ДОБИЛИ ВРАГА
ТРУДОМ МЫ ДОБУДЕМ ХЛЕБ
ВСЕ ЗА РАБОТУ ТОВАРИЩИ

JAK ŻYĆ?

Czytam najnowszy tom szkiców Jerzego Lovella z mieszanymi uczuciami. Pamiętam bowiem głośne reporterskie książki Lovella — „Niepiękne dzielnice", „Raport w sprawie aniołów"... To była reporterka, co się zowie i chyba kawał literatury także.

Potem Lovell wpakował się w jakąś magmę eselstyczną, budował swoje reportaże może kunsztownie, ale, jak gdyby dążył za wszelką cenę do jakiejś syntezy, metafory, uogólnienia... Trochę na siłę, trochę rozwlekle i bardzo nudno. I chyba dosyć pretensjonalnie.

Minęły lata znaczone kolejnymi książkami Lovella i dopiero rok 1970 przyniósł „Polskę, jakiej nie znamy" — powtórne odrodzenie się reportera. A dziś czytam najnowszy tom szkiców Lovella pt. „Jak żyć?" i znów ogarnia mnie nuda. I jakoś nie mam ochoty doczytać się odpowiedzi na to fundamentalne pytanie.

A przecież dotyka Lovell problemów ogromnie ważnych, pisze o sprawach („Człowiek płonie"), niesłychanie bulwersujących... Lecz pisze tak jakoś chłodno, „obiektywnie", że nie wstrząsa czytelnikiem. Wyważa słowa racje, argumenty — po aptekarsku. Nie poruszają te reportaże z literacką manierą tak, jak poruszają książki reporterskie Redlińskiego, Rolickiego, Kozickiego... Szkoda.

Jerzy Lovell „Jak żyć?". Wyd. Iskry, 1972.

FELIETONY GŁOWACKIEGO

Dobrą uwerturę zagrał Janusz Głowacki do swojej książki, rozbierając się latem do naga na bałtyckiej plaży, co wywołało lawinę relacji prasowych. Wydany w sierpniu zbiór felietonów „W nocy gorzej widać", wyraźnie bowiem odstaje od dotychczasowych książek głośnego autora. Nie jest to zarzut — felieton bywa przecież najczęściej namiastką literatury.

Czytelnicy jednak (ci, którzy nie śledzili felietonistyki Głowackiego w „Kulturze"), mogą się spodziewać czegoś na miarę „Nowego tańca la-ba-da", czy choćby „Wirówki nonsensu", zrodzonej w końcu też tylko z reportażowych doświadczeń. W tym wypadku jednak Głowacki nie wyszedł poza gatunek felietonu — tak, jak wychodzi Hamilton. Nie jest to więc żaden „nowy tom Głowackiego" — tylko po prostu trzydzieści felietonów napisanych na marginesie twórczości literackiej.

Książka to urokliwa, przewrotna, dowcipna i zjadliwa — czyta się ją z przyjemnością, przypominając zapomniane już sprawy i wydarzenia. Fakt, że to margines działalności pisarskiej Głowackiego, nie ma tu większego znaczenia. W końcu, jeśli dobry, ostro widzący pisarz zabiera się do publicystyki — jest zawsze gwarancją odpowiednio wysokiego poziomu. Tak jest i w tym wypadku. Wydawnictwo natomiast obdzieliło autora nakładem chyba odpowiednim do popularności — obdarzając jednocześnie książkę dość koszmarną okładką. Żeby nie było zbyt wiele szczęścia na raz.

Janusz Głowacki „W nocy gorzej widać", Wyd. Czytelnik, 1972.

PRZYCIĄGANIE ZIEMI

Tadeusz Klimaszewski zbulwersował czytelników w latach pięćdziesiątych książką — wspomnieniem „Uciekłem z Legii Cudzoziemskiej". Wydawało się, że na tym epizodzie skończy się literacka przygoda człowieka, któremu splot okoliczności przedłużył wojnę o kilka lat. Ale za pierwszą książką przyszły następne, także zresztą eksploatujące bogatą i ciekawą biografię pisarza.

W „Przyciąganiu ziemi" Klimaszewski wraca do swoich przeżyć, ale już w powieściowej konwencji, w której echa literatury faktu są jakby zciszone. Nie na tyle jednak, aby zatraciły się walory dokumentalne pisarstwa Klimaszewskiego.

Poza tym książka posiada wszystkie cechy przysłowiowego „czytadła", w tym dobrym znaczeniu słowa. Jest to powieść o wątkach sensacyjnych, której akcja rozgrywa się na wielu płaszczyznach, przeplatających się ze sobą. A więc Powstanie, obóz w Niemczech, barwne życie w Szwecji, wreszcie trudny etap życia w kraju, gdzie bohater zawadza o więzienie. Jest to książka o cenie dokonywanych wyborów, o przyjaźni, która nie była przyjaźnią, o miłości, która nie była miłością, o mirażu życia w dobrobycie i cenie, jaką trzeba zapłacić za owe miraże... Dobra, tradycyjna powieść, mocno osadzona w realiach współczesnego świata.

J. W.

Tadeusz Klimaszewski „Przyciąganie ziemi", Wyd. MON, 1972.

10 DNI W PODRÓŻY

TERESA WOJCIECHOWSKA

Dzień pierwszy

...Pociąg specjalny z Łodzi do Duesseldorfu stoi na peronie trzecim, torze szóstym...

Być może nie był to tor szósty, tylko siódmy albo ósmy, nie wiem na pewno ale za to na pewno pociąg miał bure od brudu okna, zakurzone ławki-kuszetki i był nie ogrzewany. Pociąg przyszedł z Warszawy i trudno było znaleźć winowajcę uszkodzenia elektrycznych urządzeń ogrzewczych. Przyznać trzeba jednak, że sprawiedliwie we wszystkich wagonach było jednakowo zimno.

Do przedziału weszłam pierwsza i stanęłam na środku nie podejmując żadnych dalszych decyzji rozgoszczenia się w tym pomieszczeniu. Atmosfera ożywiła się dopiero, gdy przyszła moja współlokatorka, jedna z czołowych solistek Teatru Wielkiego. Rozejrzała się dokoła, zdjęła płaszcz, wyrzuciła mnie z przedziału i poszła do kierownika wagonu po wiadro z wodą i ścierką. Po czym zabrała się do sprzątania. Stałam na korytarzu pełna podziwu i zawstydzenia, a w chwili słabości lekkomyślnie powiedziałam:

— Nigdy już o pani złego słowa nie napiszę!

— Trzymam panią za słowo — odpowiedziała, nie przerywając pracy.

Jej wysiłek został w pewnym sensie wynagrodzony. Kierownik wagonu oznajmił, że lubi pracowite kobiety i dał jej dodatkowy koc i prześcieradło.

Przygotowywaliśmy się do snu tylko psychicznie, bo ziąb panował coraz dotkliwszy i wreszcie energiczna interwencja kierownictwa, powodowanego nie tyle własną wygodą, ile obawą o głosy śpiewaków i stan zdrowia reszty zespołów sprawiła, że gdzieś w okolicach Kutna ogrzewanie zaczęło działać. Ale za to już w Kutnie zabrakło w całym pociągu wody i nie było jej do końca 20-godzinnej podróży. Nie mówiąc już o mydle i ręcznikach, których nie było od początku.

Dzień drugi

Pierwsze słowa, jakie usłyszeliśmy wysiadając z pociągu na dworcu w Duesseldorfie, popłynęły z megafonów... w języku polskim. Był to głos dyrektora Piotrowskiego, który powitał nas i poinformował, co mamy robić dalej. Dalej pojechaliśmy do superluksusowego hotelu Inter-Continental (amerykańska spółka hotelowa), gdzie w każdym pokoju znaleźliśmy kartoniki witające nas w imieniu Oper am Rhein — w języku polskim. Z wszystkich dziwów superluksusu najbardziej zadziwiła mnie Biblia w dwu egzemplarzach: niemieckim i angielskim, świeca i kryształowy świecznik, które znalazłam w szufladce szafki nocnej.

Niewiele było czasu na korzystanie z hotelowych luksusów. Rozpoczął się czas intensywnej, wytężonej, pełnej napięcia nerwowego pracy. Przeplatanej spotkaniami i przyjęciami, organizowanymi przez gościnnych gospodarzy. Już w dniu przyjazdu, zostaliśmy zaproszeni na powitalną kolację, która odbyła się w olbrzymich salach miejscowej Sparkasse, czyli niemieckiej PKO. Żądni poznania „Duesseldorf by night", a nieświadomi odległości jaka nas dzieli od hotelu, udaliśmy się w drogę powrotną pieszo. I trochę się rozczarowaliśmy. Na parukilometrowej trasie, jaką przebyliśmy, życie nocne tego ponoć najbogatszego w NRF miasta, wygląda podobnie jak w Łodzi. Po prostu pusto na ulicach. Tylko sceneria nieco inna. Morze neonów, imponujące wystawy i jeszcze bardziej imponujące ceny.

Dzień trzeci

Przed południem próba „Halki". Oglądamy salę teatralną. Tradycyjna widownia z ciemnoczerwonymi obiciami, półokrągłymi lożami balkonowymi. Scena nieduża, znacznie mniejsza od łódzkiej, znacznie też gorsze oświetlenie sceny. I gorsza akustyka. Trochę ciasno dla układów baletowych w „Halce", zaś następnego dnia, podczas „Tragedyji o Janie i Herodzie" Romualda Twardowskiego, Władysław Malczewski — Jan ostrożnie będzie rzucał w diabła kijem. Kij, rzucony podczas próby z łódzkim rozmachem, potoczył się po scenie i spadł do kanału orkiestrowego. Na szczęście, wytraciwszy szybkość, łagodnie wylądował między rzędami orkiestry, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Po próbie „Halki" powitalne spotkanie obu zespołów, obu dyrekcji. Dyrektor Opery Nadreńskiej dr Grischa Barfuss wygłosił serdeczne przemówienie, nawiązujące do dawnych polsko-niemieckich związków kulturalnych. Mówił o Henryku Heine i jego kontaktach z Chopinem w Paryżu. Nawiązanie do Heinego było nie bez kozery. W Duesseldorfie, mieście rodzinnym wielkiego poety, obchodzi się właśnie 175 rocznicę jego urodzin. Dlatego Teatr Wielki otrzymał w upominku 4-tomowe wydanie jego dzieł. Później, spacerując ulicami miasta, ciągle spotykaliśmy plansze z portretem Heinego. Były one zapewne manifestacją czci dla jednego z największych pisarzy niemieckich.

Wymiana upominków miała miejsce wszędzie, podczas wszystkich spotkań. Trudno spamiętać gdzie — co. Wiem tylko, że podejmujący nas tego dnia po południu, w ratuszu, nadburmistrz Duesseldorfu otrzymał od Polaków siwaka — madonnę, dzieło Wacława Kondka, jeszcze jeden Kondek pozostał w Dortmundzie, tym razem malowidło na desce. W Duisburgu burmistrz otrzymał cepeliowski, drewniany antałek, a gdy tłumaczka próbowała wyjaśnić, że dawniej w Polsce trzymało się w tym miód i jaki był to miód, dyr. Barfuss przerwał jej: „Znamy, piliśmy". Nie należy zapominać, że dr Barfuss był we wrześniu ubiegłego roku, ze swym zespołem w Łodzi i Warszawie. Widać miodu nie omieszkał zakosztować.

Dzień czwarty

Zaplecze gmachu Opery Nadreńskiej przemieniło się na okres czterech dni w polską placówkę kulturalną. Rozgospodarowaliśmy się na dobre, wszędzie napisy w języku polskim i ciągle jakieś nowe, radosne okrzyki powitania. Pojawił się Henryk Czyż, który tu właśnie, w Duesseldorfie prowadzi koncerty symfoniczne, z pobliskiego Gelsenkirchen przyjechał Andrzej Saciuk, by wystąpić w „Tragedyji". Nasz solista zaangażował się w tamtejszym teatrze operowym od niedawna, dopiero dał się poznać, a już ma propozycje z innych miast NRF, w dalszych zaś planach występy w Austrii. Przez cały czas nie traci kontaktów z krajem, a szczególnie Łodzią, gdzie każdego roku ma określoną ilość występów na rodzimej scenie. A jednym z pierwszych jego pytań jest — jaką pozycję zajmuje ŁKS w tabeli ligowej. Przychodzi też do nas Bogna Sokorska, która po ośmiu latach występów w Duesseldorfie, myśli już o powrocie do kraju. Bez żadnych ubocznych myśli przypominamy jej, że w Polsce jest jeszcze jeden Teatr Wielki, to znaczy nasz.

Trema i zdenerwowanie przed polską premierą — pierwszym na tym terenie przedstawieniem „Halki" rośnie z godziny na godzinę. Denerwują się wszyscy, nie tylko artyści, także organizatorzy i my wszyscy, którzy Operze towarzyszymy. Wiemy już, że zainteresowanie „Halką" było ogromne, że bilety wyprzedano w niecałe dwa dni i wielu chętnych odeszło od kasy bez biletów.

I wreszcie przedstawienie, przy pełnej gali, wieczorowo wytwornej publiczności. Huczne, niemilknące brawa po uwerturze. Rozpoczyna scena zaręczyn Janusza z Zofią. My słuchamy najbardziej krytycznie i z największym napięciem. My, którzy znamy naszych śpiewaków najlepiej, słyszymy jak z minuty na minutę, trema mija, opada. I mazur, po którym publiczność huraganem braw domaga się bisów, ale w naszych teatrach operowych nie ma zwyczaju bisowania. I potem tańce góralskie, po których żądania bisów stają się jeszcze bardziej burzliwe. Więc balet odstępuje od zwyczajów polskich i przystosowuje się do miejscowych. „Góralskie" są tańczone po raz drugi. Po zapadnięciu kurtyny znów burza oklasków. Kurtyna podnosi się 15 razy, na artystów sypią się kwiaty i słodycze — to znów zwyczaj miejscowy. Tych zwyczajów miejscowych jest zresztą jeszcze więcej. Foyer Opery przypomina nam restaurację. Zastawione jest nakrytymi stolikami i krzesłami. Publiczność, przed przedstawieniem i w czasie przerw posila się kiełbaskami na gorąco, kawą i piwem. Ale spróbuj znaleźć palarnie, stracisz na to pół przerwy. Wszędzie napisy: palenie wzbronione.

Wracajmy na scenę. Tu odbywa się wręcz manifestacja. Okrzyki, machanie rękoma, chusteczkami, tu i ówdzie łzy w oczach — to przedstawiciele miejscowej Polonii. Następnego dnia prasa z nie mniejszym zachwytem pisać będzie o Bogusławie Madeyu i jego interpretacji muzycznej dzieła Moniuszki, klejnotu operowego, o europejskiej randze tego kompozytora, o „autetycznej gwieździe wieczoru" Bożenie Kinasz-Mikołajczak w roli Halki i o wyrównanym poziomie reszty wykonawców, a szczególnie Tadeusza Kopackiego (Jontek), Jerzego Jadczaka (Janusz) i Izabelli Kobus (Zofia). O wspaniałym chórze przygotowanym przez Włodzimierza Pospiecha i świetnym balecie prowadzonym przez Witolda Borkowskiego.

Wracają do domu zmęczeni i szczęśliwi.

— Warto przeżyć takie zmęczenie i taki wysiłek, żeby doczekać się takiego sukcesu — mówi ktoś cicho.

Dzień piąty

Dzień przedstawienia „Tragedyji", która zgromadziła mniej może liczną i bardziej krytyczną publiczność. Znów obawy — jak się przyjmie to współczesne dzieło tutaj, jak się będzie przedstawienie podobać. Nie przyleciała z Londynu — jak to było pierwotnie zaplanowane — Terasa Wojtaszek-Kubiak, która miała śpiewać partię Herodiady. Jej miejsce zajmuje Halina Romanowska, która zaśpiewa Herodiadę w obu przedstawieniach „Tragedyji" i dlatego nie zaśpiewa Halki w Dortmundzie, jak było w Łodzi przewidziane. Cóż, i takie przypadki się zdarzają.

Po przedstawieniu owacja nie mniejsza niż po „Halce". Następnego dnia prasa będzie się wyrażać z najwyższym zachwytem o cudownej oprawie scenograficznej i kostiumach — wielkim dziele Mariana Stańczaka, o opracowaniu muzycznym dr Zygmunta Latoszewskiego, o solistach: Władysławie Malczewskim, Andrzeju Saciuku, Halinie Romanowskiej, Alicji Pawlak.

Po przedstawieniu wracamy autokarami do hotelu: Zespół techniczny zaczyna składanie dekoracji i ładowanie ich do samochodów. To ostatni dzień pobytu w Duesseldorfie. Jutro rano część zespołu wyjeżdża do Duisburga — ci, którzy biorą udział w przedstawieniu „Cosi fan tutte" Mozarta. Pozostali jadą prosto do Dortmundu.

Dzień szósty

Podróż do Duisburga odbywa się statkiem. Gospodarze, chcąc ją uatrakcyjnić, zaplanowali jako przejażdżkę po Renie. Na niewielkim stateczku „Stadt Duisburg" przygotowano śniadanie, towarzyszą nam członkowie rady artystycznej Oper am Rhein i burmistrz Duisburga. Na końcu powitalnego przemówienia przyznaje się, że to spotkanie z nami jest dla niego prezentem, dziś bowiem właśnie obchodzi urodziny. Co robią Polacy w takiej sytuacji? Polacy — rzecz oczywista — śpiewają „sto lat!". I tak się stało. Rzadko kiedy można usłyszeć tak pięknie i fachowo wykonane „sto lat".

O Duisburgu, mieście mniejszym od Duesseldorfu, wiedziałam z encyklopedii, że jest jednym z największych portów rzecznych w Europie, a z życia — że wybudowaliśmy tu niedawno fabrykę kwasu siarkowego, z której Niemcy są bardzo zadowoleni. Podkreślił to burmistrz miasta dodając, że istnieją plany dalszej na tym odcinku współpracy z Polską. Podkreślił też, że Ren nie darmo zwany jest drogą narodów. Pełno na nim jednostek wszystkich bander (minął nas m. in. stateczek PL „Bydgoszcz"). I dlatego mieszkańcy miast nadreńskich pozbawieni są uczuć nacjonalizmu, szowinizmu.

O Duisburgu wiemy niewiele, o Renie przede wszystkim to, że jest jedną z najbardziej zanieczyszczonych przez przemysł chemiczny rzek świata. Toteż trudno opisać moje zdumienie, gdy u wejścia do portu ujrzałam pływającego po rzece najspokojniej olbrzymiego łabędzia. Tylko szyję miał nieco przybrudzoną. Jak on to wytrzymuje?

— Niech pani nie wierzy — mówi Marian Stańczak — to propaganda, on jest sztuczny.

Wiadomo, scenografowi wydaje się, że wszystko można zrobić z plastyku.

Wieczorem mozartowskie „Cosi". Jeden z recenzentów w Duesseldorfie napisał, że Polacy zaprezentowawszy swą twórczość rodzimą, przywieźli też, jako „artystyczny haracz", pozycję Mozarta, rozumiejąc pod tym sformułowaniem gest grzecznościowy z naszej strony wobec gospodarzy. Burmistrz gest ten potraktował inaczej.

— Jestem przekonany, że Mozart przyczyni się do nawiązania przyjaźni między nami.

Przedstawienie poprowadzone przez dr Latoszewskiego, w pięknych dekoracjach i kostiumach Mariana Stańczaka, zostało przyjęte przez publiczność bardzo serdecznie. Niestety, byliśmy tam niecały dzień, recenzje nie dotarły do nas jeszcze.

Dzień siódmy

To już ostatni etap podróży: Dortmund. Najmniejsze z trzech miast, typowo robotnicze, gospodarze nawiązują do robotniczego charakteru obu miast — Dortmundu i Łodzi. Mówią, że publiczność będzie tu może mniej wylewna, ale na pewno bardzo szczera. Gmach teatralny znakomity. Rzecz ciekawa — im mniejsze miasto, tym lepszy budynek teatralny. W Duisburgu był lepszy niż w Duesseldorfie, w Dortmundzie lepszy niż w Duisburgu. Ogromna scena, znakomita akustyka, nowocześnie pomyślana widownia. Na marginesie — fotele na widowni mają wyjątkowo wysokie oparcia, tak, że nie widać znad nich głów publiczności. I nasi artyści mieli w pierwszej chwili wrażenie, że śpiewają przy pustej sali. Dziwili się tylko, skąd pochodzą oklaski.

A oklaski dorównywały poprzednim, z Duesseldorfu. Na „Halkę" przyjechali ci, którzy nie dostali biletów w tamtym mieście. W czasie przerwy podeszła do nas dziewczyna, która przed niespełna dwoma laty wyemigrowała z rodzicami do NRF. Tęskni za Polską, na to przedstawienie przyjechała z miejscowości oddalonej o 200 kilometrów, kupując bilet ze skromnego stypendium. Zapisała się do „Zgody", bo dzięki temu będzie ją mniej kosztowała wycieczka do Polski, o której marzy.

Dzięki znakomitym warunkom scenicznym „Halka" w Dortmundzie wypada chyba jeszcze lepiej niż w Duesseldorfie. I znów można by powtórzyć wszystko o entuzjazmie, aplauzie, serdecznej manifestacji, która nastąpiła po przedstawieniu „Halki".

Dzień ósmy

Czytając rano recenzje z „Halki" uświadamiam sobie, że główni autorzy jej sukcesu: Bogusław Madey, nowy kierownik artystyczny Teatru Wielkiego i solistka Bożena Kinasz-Mikołajczak są naszej publiczności właściwie mało znani. Premiera „Halki", przygotowanej specjalnie na wyjazd do NRF, odbyła się w Łodzi tuż przed wyjazdem i niewielu łodzian ją widziało. A „złotowłosa Bożena", jak ją nazwał jeden z recenzentów, z łódzką sceną na stałe związała się dopiero w tym sezonie.

Jej kariera śpiewacza rozpoczęła się w 1964 roku, gdy na Międzynarodowym Konkursie w Hertogenbosch (Holandia) zdobyła pierwszą nagrodę. Dokonała tam też kilku nagrań. Z lekkim żalem mówi, że w ogóle za granicą ma więcej nagrań niż w kraju. Występowała potem w Amsterdamie z recitalem muzyki słowiańskiej, w Czechosłowacji, NRD, Związku Radzieckim, Austrii i Londynie, gdzie brała udział w koncercie dla miejscowej Polonii. Początkowo była solistką Opery Bydgoskiej, następnie Teatru Wielkiego w Warszawie, obecnie związała się na stałe z Teatrem Wielkim w Łodzi. Śpiewa tu Aidę i Butterfly, teraz również Halkę. Współpracę z Łodzią zaczęła pod szczęśliwą gwiazdą — wielkim sukcesem zagranicznym. Jej piękny, świetnie technicznie wyszkolony głos, wielka kultura muzyczna i wrażliwość aktorska każą nam powitać ją jako cenny nabytek w łódzkim teatrze.

Dzień dziewiąty

W Dortmundzie jeszcze jedno przedstawienie „Tragedyji", i jeszcze jeden sukces. Następnego dnia rano wsiadamy do naszego specjalnego pociągu. Tym razem z Dortmundu do Łodzi. Po drodze kupuję najświeższe gazety, by w pociągu spokojnie upewnić się, że opinie publiczności i recenzentów były zgodne.

Wszyscy są bardzo zmęczeni. Taki kilkudniowy wyjazd, występy non-stop, to wielki wysiłek i artystyczny i organizacyjny, pełna koncentracja, by wszystko wypadło jak najlepiej, jak najgodniej. To wielki wysiłek dyrekcji, artystów i personelu technicznego, zawsze występującego anonimowo, zawsze ciężko pracującego. To oni byli w teatrze od 6 rano, pierwsi, a opuszczali go ostatni, ciągle zajęci pakowaniem lub rozpakowywaniem dekoracji.

Dzień dziesiąty

Pociąg, do którego wsiedliśmy w Dortmundzie, ten sam, którym jechaliśmy do NRF, zastaliśmy jakby odmieniony. Szyby czyściutkie, ogrzewanie bez awarii, przedziały posprzątane, w umywalniach mydło, ręczniki papierowe. Wody, o dziwo, starczyło do Łodzi. Ogrzewanie wysiadło dopiero w nocy, za Poznaniem. Tylko kierownik wagonu był w drodze powrotnej dziwnie zdegustowany. W tych warunkach czuł się widocznie nieswojo.

GASTRONOMIA

BRONIĘ KLEZMERA

Wielotomowy „Słownik języka polskiego" pod redakcją Witolda Doroszewskiego orzeka bezlitośnie i jednoznacznie: **„Klezmer — muzyk grający w lokalach rozrywkowych, dla którego głównym celem jest zarobek, a nie twórczość artystyczna; muzyk, który potrafi grać wszystko, zależnie od okoliczności".**

A jednak między definicją tego pojęcia i jego desygnatami zachodzi rażąca sprzeczność. Dlatego też penetrując problemy gastronomii łódzkiej **stanąć muszę w obronie klezmera i godności jego zawodu.** Tym bardziej, że wokół tej profesji narosło wiele mitów, na czele z legendą o nieprzebranych zarobkach. Tymczasem **uchwała Rady Ministrów z 25 lipca 1967** reguluje tę kwestię zgoła odmiennie. Oto stanowiąca najważniejszy załącznik do uchwały tabela miesięcznych płac zasadniczych przewiduje dla muzyków o najwyższych kwalifikacjach i stażu zatrudnionych w lokalach kategorii „S" oraz I, wynagrodzenie **nie przekraczające 3.500 zł.** W innych lokalach i przy mniejszym stażu zawodowym dochody miesięczne członka zespołu muzycznego **wyjątkowo tylko mogą przekroczyć 3.000 zł.**

A przypomnijmy, że jest to z reguły praca nocna, w specyficznej restauracyjno-kawiarnianej atmosferze, najczęściej, w dusznej, zadymionej sali. **Włodzimierz Nowak**, przewodniczący Sekcji Muzyków Rozrywkowych przy Zarządzie Okręgowym Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki w Łodzi informuje, że w naszym mieście i województwie górny pułap tabeli wynagrodzeń rzadko jest przez gastronomię stosowany i zarobki członków zespołów rozrywkowych niższe są tutaj niż gdziekolwiek w Polsce. Nic też dziwnego, że muzycy narażeni jednocześnie na niewybredne zaczepki podchmielonych bywalców lokalowych, owiani niedobrą klezmerską sławą, mają uzasadnione poczucie frustracji. Zwłaszcza, że i pracodawca robi wszystko, aby ich nie rozpieszczać, aby sobie, Broń Boże, nie pomyśleli, że mogą uważać się za artystów.

Chociażby taka drobna z pozoru sprawa: występując publicznie członek zespołu orkiestrowego musi posiadać **odpowiedni ubiór.** Kelnerom zatrudnionym w gastronomii przysługuje strój zakładowy, przysłowiowy frak. Klezmer, jako istota gorszej kategorii sprawia sobie reprezentacyjne ubranie na własny koszt. Gdyby ktoś zaproponował chirurgowi, żeby zabierał ze sobą do szpitala własne instrumenty operacyjne, słusznie może spodziewać się, że zostanie okrzyczany wariatem; tymczasem w wypadku muzyka, sprawa przedstawia się akurat na odwrót. Nie tylko gra on na własnym instrumencie, ale musi go jeszcze za własne pieniądze konserwować, a są to koszty dość wysokie. Zwłaszcza, że dzisiaj stosuje się najczęściej drogą, elektroniczną aparaturę. Zresztą przepisy nie pozostawiają żadnych wątpliwości:

„Za użytkowanie własnych instrumentów muzykowi nie przysługuje dodatkowe wynagrodzenie".

Zadbano zresztą o to, aby na równi z instrumentami zużywał się człowiek. Muzyk powinien pracować **5 godzin dziennie**, przy czym po każdej przepracowanej godzinie przysługuje mu **5 minut przerwy** na wypoczynek, co jest wprost nierealne zwłaszcza w stosunku do członków zespołu obsługujących instrumenty dęte, gdyż wymaga żelaznej kondycji fizycznej. W ogóle klezmerom stawia się bardzo wysokie wymagania. Niezależnie od pracy w lokalu mają oni obowiązek ćwiczenia na instrumentach w domu, aby prezentować wysoki poziom na estradzie, zobowiązani są także do śledzenia nowości muzycznych, wreszcie obciążeni są wymogiem posiadania własnego repertuaru.

Znacznie skromniej przedstawia się lista ich **uprawnień, gdyż będąc pracownikami gastronomii, muzycy nie korzystają z jej funduszów socjalno-bytowych, nie mają nawet prawa do ręcznika i mydła.** Zresztą ta obojętność idzie jeszcze dalej. W całym mieście istnieje tylko **jeden sześcioosobowy zespół muzyczny**, a z reguły egzystują składy cztero- i trzyosobowe. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że tego rodzaju polityka personalna odbija się zarówno na repertuarze, jak też na jakości produkcji muzycznych. Sytuacja jest na tyle alarmująca, że **Sekcja Muzyków Rozrywkowych Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki zwróciła uwagę Łódzkiemu Przedsiębiorstwu Przemysłu Gastronomicznego specjalnym listem stwierdzając:**

„Przy składach osobowych zespołów muzycznych ograniczonych do czterech muzyków, brak jednego muzyka może spowodować niemożność produkcji repertuaru muzycznego całego zespołu, bądź w wyjątkowych przypadkach poważne obniżenie poziomu produkcji artystycznej (np. brak perkusji). Niemożność wykonywania opracowanego repertuaru zachodzi szczególnie w tych przypadkach, w których zabraknąć może jedynego instrumentu solowego, lub jedynego instrumentu akompaniującego, stwarzającego podkład harmoniczny i współpracującego z instrumentem basowym. Zatem brak któregokolwiek z tych instrumentów, przy jednoczesnym produkowaniu się trzech pozostałych członków zespołu, mógłby wywołać kompromitującą sytuację dla zespołu muzycznego i tym samym dla zakładu pracy, a ponadto trudno byłoby nawet liczyć na możliwość repertuaru muzycznego w pełnym zakresie i na każdą ewentualność, niezależnie od artystycznego wyrazu takich opracowań, które mogłyby okazać się żenujące z przyczyn niezawinionych przez członków zespołu".

W ogóle pomiędzy interesami gastronomii, a interesami muzyków i ich słuchaczy widać wyraźny konflikt. Gastronomicy chcieliby, aby zespoły estradowe posiadały jak najmniejsze składy, gdyż niezależnie od wielkości takiego koncertującego ansamblu, pobiera się dodatek rozrywkowy w tej samej wysokości. Jeśli więc grających mniej, mniejsze są koszty pracodawcy, i tym samym wyższe zyski. Z kolei bywalcy lokali chcieliby słyszeć produkcje muzyczne o najwyższym poziomie artystycznym, a tego, jak to już wiemy, nie da się osiągnąć bez rozbudowanej orkiestry. Konflikt jest głębszy niż się to nawet z pozoru wydaje i gastronomia chwyta się wszelkich sposobów, żeby pozbyć się niewygodnego partnera.

Ktokolwiek wybrał się do nocnego lokalu w Łodzi późnym wieczorem, wie doskonale, że zastanie drzwi zamknięte i będzie mu co najwyżej dane przeczytać kartkę: **„Wszystkie miejsca zajęte".** Nic dziwnego, w blisko osiemsettysięcznym mieście czynnych jest tylko **sześć restauracji z dansingiem po północy.** Od paru już lat trwa przedłużający się w nieskończoność remont **„Casanovy"**, gdzie także przygrywała nocą orkiestra, ograniczyła także swoją działalność restauracja **„Arkadia"**. Aktualnie gastronomia chce, jak mnie informuje wiceprezes Sekcji Muzyków Rozrywkowych, zwolnić dwa zespoły muzyczne, czemu Związek kategorycznie się przeciwstawia. Niekiedy niechęć gastronomii do zespołów muzycznych przybiera groteskowe formy: oto jej dyrekcja występuje z propozycją zlikwidowania orkiestry w **„Zulanie"**, tłumacząc się, że w restauracji tej nie ma telefonu, a dansing stanowić może przecież wabik dla elementów chuligańskich. W razie awantury nie byłoby więc jak zawiadomić milicji. Ta przesadna troska maskuje, jak mi się wydaje, a nie jestem w tym poglądzie odosobniony, czysto komercjalne podejście zakładów gastronomicznych, czego nie raz już mieliśmy dowody. Ostatecznie najczęstszą przyczyną awantur w restauracjach jest nadużywanie alkoholu, nie zaś muzyka i taniec, które raczej odciągają od wódki.

Przy tym stosunku gastronomii do działalności rozrywkowej klienci słusznie mogą uskarżać się na jej niedostatek i repertuarowe ubóstwo. Zastanawiam się i może wyjaśni mi to dyrekcja gastronomii, **dlaczego w ani jednej restauracji nie ma ani jednego zespołu dziewięcioosobowego przynajmniej, który nie tylko przygrywałby do tańca, ale także uprawiał działalność koncertową?** Przy tak szczupłych składach orkiestr nie sposób jest przecież wykonywać najciekawsze kompozycje

PASZKWIL GASTRONOMICZNY

List do redakcji

Bezpośrednim winowajcą moich niepokojów stał się artykuł Konrada Frejdlicha pt. „Paszkwil gastronomiczny", drukowany w nr 42 „Odgłosów".

W wieczornej porze, na przełomie 11 i 12 października br. udałem się w towarzystwie dwóch kolegów do restauracji kategorii I — „Sim". Po dokładnym zlustrowaniu naszych skromnych, a jakże wylęknionych postaci, portier uznał, że może nam sprzedać karty konsumpcyjne. Zajęliśmy miejsca i zwyczajem wszystkim dobrze znanym, po pół godzinie zjawił się kelner. Zamówiliśmy wódkę, czystą: „Specjalną" żytnią, bo wyboru nie było. Jeszcze gorzej było z zakąskami. Kelner mógł zaproponować tylko: — kaczkę po tyrolsku. Dość elokwentnie za to zauważył, że gdyby to była jego knajpa, to on by wiedział, co podać i skąd zdobyć (sic!). Nam jednak zachciało się sałatki z ogórków i cebuli. Ogórki były, cebuli nie było.

Za bufetową ladą krzątały się dwie panie. Zwróciłem się do starszej bufetowej z prośbą o pomoc w zdobyciu, mój Boże, cebulki. Jak się wnet okazało — nie pomyliłem się. Moja rozmówczyni udała się w głąb czeluści kuchennych i za moment cebula leżała na ladzie.

Pomyślałem — o naiwności moja, nieuleczalna — że najlepiej odwdzięczę się, wpisując pochwałę „mojej bufetowej" do książki życzeń i wniosków. Wiedziałem o zarządzeniu ŁZG „Restauracje", wydanym jesienią ub. roku w sprawie uproszczeń w udostępnianiu książki. Na własne oczy widziałem podpisy złożone przez personel restauracji na tekście zarządzenia. Ale życie mnie zaskoczyło.

— Ach, to pan! — powiedziała młodsza bufetowa. — Ja pana znam, pan mnie uczył. S... syn to pan był, jest i takim już pozostanie. A książka gdzieś tam jest, ale pan jej nie dostanie.

— A jakiś dowód, że może pan żądać książki, to pan ma? I co pan właściwie robi?— odezwał się kelner. Jadowity uśmiech, a może grymas nienawiści błąkał się po jego twarzy.

— Tak, mam dowód i prawa obywatelskie. — Tu otworzyłem dowód osobisty i podałem zaświadczenie redakcji znanego tygodnika, z którym mam zaszczyt współpracować.

— Tym nie będzie pan nas straszył i ostatni raz pan u nas żre.

PKP

PODRÓŻ DO KRESU OBOJĘTNOŚCI

27 października 1972 roku słońce miało wzejść o godzinie 6.23, a pociąg osobowy do Koluszek — zgodnie z rozkładem jazdy wydanym przez PKP — miał odejść z dworca Fabrycznego o godzinie 6.37. O wyższości praw przyrody nad prawami rządzącymi w PKP podróżni, którzy wsiedli do wspomnianego pociągu, przekonali się dokładnie o godzinie 6.30; słońce właśnie wzeszło przed siedmioma minutami, a miły, damski głos poinformował z megafonów, że pociąg osobowy z Łodzi Fabrycznej do Koluszek odjedzie z około 20-minutowym opóźnieniem i że kolej przeprasza pasażerów.

Co bardziej spokojni pasażerowie ucieszyli się z przeprosin, co bardziej nerwowi, liczący, że w Koluszkach przesiądą się na pociąg nr 6122 relacji Bogatynia — Warszawa, który zgodnie z rozkładem jazdy wydanym przez PKP, przyjeżdża do Koluszek o godzinie 7.17 — pobiegli do dyżurnego ruchu.

— Strasznie się cieszymy, że kolej stała się taka grzeczna i nas przeprasza — zaczął, siląc się na spokój, jeden z bardziej nerwowych pasażerów — **ale jak teraz dostać się do Koluszek, żeby złapać połączenie ze Skierniewicami?**

— A to dlaczego nie pojechał pan pośpiesznym o 6.30? — uprzejmie zapytał przedstawiciel PKP — **Kto to czeka na ostatni pociąg?**

Pytanie było zabójczo rozsądne. Rzeczywiście, pośpieszny odchodzi z Fabrycznego o 6.30 i jest w Koluszkach o 6.55. Tyle tylko, że kiedy pośpieszny miał już odjeżdżać miły, damski głos z megafonu nie ostrzegł pasażerów pociągu osobowego, że właśnie odjeżdża im szansa złapania połączeń w Koluszkach. A poza tym, mamy zaufanie do PKP i rozkładu jazdy — oznajmiliśmy panu w czerwonej czapce.

— Ten pociąg zawsze odchodzi z opóźnieniem — odpowiedział nam z wyższością człowieka wtajemniczonego.

Zgodnie z informacją PKP pociąg osobowy rzeczywiście odjechał z 20-minutowym opóźnieniem. Takie kolejowe przygody niezwykle pozytywnie wpływają na zacieśnianie więzi między społeczeństwem. Toteż kiedy o 7.35 wysiedliśmy w Koluszkach, stanowiliśmy małą, zorganizowaną grupę, której wspólnym celem był natychmiastowy wyjazd z Koluszek w kierunku Skierniewic, jako że każdy z nas jechał w celach służbowych, a nie turystycznych. Pociąg z Bogatyni, na który po cichu liczyliśmy, myśląc, że może też się spóźni, odjechał jednak zgodnie z rozkładem jazdy. W tej sytuacji nasz współtowarzysz podróży, pracownik Zjednoczenia Przemysłu Filcowego i Tkanin Technicznych, który jechał na konferencję do Żyrardowa, zaproponował, aby udać się do dyżurnego ruchu. Niech nam jakoś pomoże.

Jeżeli nam w czymkolwiek pomógł, to tylko w zrozumieniu własnej naiwności. Rozmowa była krótka.

— Pociąg osobowy z Łodzi — poinformowaliśmy dyżurnego ruchu w Koluszkach — **odjechał z 20-minutowym opóźnieniem.**

— Wiem.

— Jak wobec tego mamy dostać się do Skierniewic?

— Następnym pociągiem o 9.57 — zaproponował dyżurny.

— Panie, jedziemy służbowo, jesteśmy poważnymi ludźmi, nie możemy beztrosko marnować dwu godzin — tłumaczymy dyżurnemu, który bądź co bądź jest również pracownikiem państwowej instytucji i pojęcie dyscypliny pracy, punktualności i ceny czasu pracy nie powinny być mu obce. — **Kto nam zagwarantuje punktualne przybycie na miejsce?**

— Kolej nie gwarantuje — ze stoickim spokojem odparł dyżurny ruchu.

— A co kolej gwarantuje?

— Kolej zawierając umowę z pasażerem — pracownik PKP, widząc, że rozmowę nagrywamy na magnetofonie, zaczął starannie odmierzać słowa — **gwarantuje, że dowiezie pasażera w danym czasie.**

— Co to znaczy, w danym czasie? — zapytaliśmy chórem.

— W danym dniu. Bilet jest ważny cały dzień. Mogę go również przedłużyć na jutro.

Chyba nawet nie podziękowaliśmy za tę wyczerpującą informację. **Jak dotarliśmy do Skierniewic? Przez Brzeziny.** Koluszki nie mają bezpośredniego połączenia PKS ze Skierniewicami. Pojechaliśmy autobusem do Brzezin, gdzie o 8.40 odchodził autobus PKS do Skierniewic. Błogosławiliśmy tego dnia PKS, dzięki której wygraliśmy wyścig z czasem. W Skierniewicach byliśmy o 9.40, wprawdzie powinniśmy być o godz. 8, ale gdyby nam przyszło czekać w Koluszkach do 9.57... Nasza niepunktualna podróż była skończona. Pan ze Zjednoczenia Przemysłu Filcowego i Tkanin Technicznych nadal gonił czas i poszedł szukać połączenia z Żyrardowem.

Na tym właściwie można by zakończyć opowieść o naszej niefortunnej podróży, gdyby był to jeden tylko tego typu wypadek. Pociągi jednak spóźniają się nagminnie, tak że właściwie już do tego przywykliśmy. I rozumiemy, że w punktualnym ich kursowaniu może przeszkadzać zawieja śnieżna, uszkodzenie szyn, mróz i zamarzanie zwrotnic czy awaria sieci elektrycznej. W naszej podróży spotkaliśmy się jednak z dwoma sprawami, do których nie można się przy-

muzyczne i klient łódzkich lokali skazany jest na tandetę albo nudę. Chcemy nie tylko tańczyć, chcemy także słuchać tego, co się potocznie nazywa muzyką popularną. Zwłaszcza, że przynajmniej do wykonywania takiej muzyki środowisko łódzkie jest do tego dostatecznie przygotowane.

Sekcja Muzyków Rozrywkowych, która potrafiła sobie wywalczyć taki prestiż, że w stosunku do zatrudnionych w gastronomii muzyków spełnia rolę rady zakładowej, skupia 500 członków. Uruchomiła także **miniaturowe biuro zatrudnienia** i w zasadzie wszystkie skierowania do pracy odbywają się za jej pośrednictwem. Działa ono pełną parą, gdyż starających się nie ubywa, mimo rzetelnych wysiłków Związku. Toteż ostatnio coraz więcej muzyków musi szukać zatrudnienia nie tylko poza miastem, ale także poza krajem. W bieżącym roku wyjechało z Łodzi za granicę przeszło **pięćdziesięciu** muzyków rozrywkowych, tym bardziej, że wojaże te są dość atrakcyjne finansowo, gdyż „Pagart" potrafił wyegzekwować od swych cudzoziemskich kontrahentów korzystne warunki zatrudnienia. A zagranica raczej nie importuje tandety, ma dość własnej na miejscu, co świadczy o tym, że łódzcy muzycy reprezentują nie najgorszy poziom. Bo też Związek robi wszystko, żeby nieustannie podnosić ich kwalifikacje zawodowe i ogólne. W najbliższym czasie uruchomi dla swoich członków, na co już uzyskano zgodę władz oświatowych, kurs przygotowujący do egzaminów eksternistycznych w zakresie średniej szkoły ogólnokształcącej. Myśli się także, aby sekcji mającej dziś wyłącznie charakter profesjonalny, nadać cechy stowarzyszenia twórczego, czemu służyć ma organizowane właśnie studio artystyczne, skupiające kompozytorów i wykonawców. Dopiero wtedy właściwie będzie można mówić o własnym repertuarze. Wiceprezes **Henryk Leszczyński,** który jest tego studia ogromnym entuzjastą, spodziewa się, że skutecznie wyruguje ono wszelką tandetę przynajmniej w dziedzinie piosenki.

— Jest to — powiada — **ta forma muzyczna, która w sposób masowy dociera do społeczeństwa i wywiera szczególny wpływ na kształtowanie u odbiorcy reakcji w zakresie piękna muzycznego. Niesie nie tylko wartości natury estetycznej, ale także natury etyczno-moralnej, gdyż wraz z pięknem muzycznym docierają do odbiorcy wszystkie wartości kulturowe twórcy.**

Przyznajmy, że nie jest to mentalność klezmerska, przynajmniej w tym znaczeniu, jakie słowu klezmer przypisuje słownik W. Doroszewskiego. Toteż **czas spojrzeć na klezmera jak na artystę,** którego rola jest o tyle niewdzięczna, że najczęściej wykonuje swoją pracę anonimowo. I chociaż jako grupa zawodowa stanowią oni pracowniczy margines, zasygnalizowane tu sprawy nie wydają mi się bynajmniej marginesowe. Od starań muzyków rozrywkowych zależy w poważnym stopniu ogólna kultura artystyczna naszego społeczeństwa i to, co się nazywa estetyczną wrażliwością.

KONRAD FREJDLICH

— Janie Jasiu! — kelner zwrócił się do portiera. — Nie wpuszczać więcej tego pana w okularach!

W „wykwintnym" lokalu nocnym, równie „wykwintnym" językiem zostało wyłożone zdanie o mojej matce-staruszce. Ja zaś od owej chwili raz po raz zadaję pytanie: kim właściwie jestem? Jednakoż, gdy tak o tym myślę, staje przede mną coś w rodzaju optymistycznej wizji. Jestem zdania, iż jeżeli zapragnę jeszcze kilka razy skorzystać z usług przedsiębiorstwa LZG „Restauracje", zwłaszcza tej najwyższej kategorii, dowiem się nareszcie czegoś o sobie i być może — będę usatysfakcjonowany. Oby jednak nie w ten sposób, jak Konrad Frejdlich w opisywanych obrazkach rodzajowych. Dlatego pławię się satysfakcją już dziś, że mimo wszystko do tej chwili nie dostałem wezwania przed Kolegium.

Ale chciałbym też usłyszeć, co o naszych spostrzeżeniach myśli Pan Dyrektor przedsiębiorstwa świadczącego gastronomiczne usługi dla ludności.

(NAZWISKO I ADRES ZNANE REDAKCJI)

---

zwyczaić, i z którymi pogodzić się nie sposób.

Pierwsza — to fakt, że **pociąg odjeżdża z macierzystej stacji z opóźnieniem.** Druga — znacznie poważniejsza — to stwierdzenie, jakie usłyszeliśmy od pracowników PKP. Stwierdzenie, które można traktować jedynie jako **oburzające lekceważenie pasażerów.**

Stosunek PKP do pasażerów osiągnął w tej chwili stan doskonałej obojętności. Kolej **nie gwarantuje** pasażerowi miejsca w pociągu, sprzedając nieograniczoną ilość biletów nawet do pierwszej klasy, **nie gwarantuje** jako tako przyzwoitych warunków jazdy, podstawiając wagony stare, brudne i zniszczone, **nie gwarantuje** również — o czym mogliśmy się już nie raz przekonać — dojazdu w czasie, który sama w swoim rozkładzie jazdy wyznaczyła. W tej sytuacji pasażer PKP, zajmując miejsce w pociągu zdany jest na łaskę i niełaskę tej instytucji. Nie jest pewny jak dojedzie i kiedy dojedzie, a co więcej, nie ma też możliwości dochodzenia swoich praw, bowiem — jak głosi popularne w Polsce powiedzenie — **z koleją jeszcze nikt nie wygrał.** I nie wygra, bo PKP lekceważenie pasażera usankcjonowała własnymi przepisami, stwierdzając między innymi w **„Ważniejszych informacjach przewozowych i taryfowych dla komunikacji wewnętrznej"** (punkt 16), poprzedzających każde nowe wydanie „Rozkładu jazdy", co następuje:

„Spóźniony odjazd lub przyjazd pociągu, odwołanie pociągu lub wyłączenie w pociągu wagonu nie daje podróżnym prawa żądania odszkodowania od kolei".

Jestem z całym szacunkiem dla trudnej i odpowiedzialnej pracy kolejarzy, ale jestem również — jak zdecydowana większość pasażerów PKP — człowiekiem pracy. Ostatnio coraz więcej i częściej stajemy się wobec siebie wymagający, coraz większego znaczenia nabiera rzetelność, dobra robota i poszanowanie czasu. Dążymy do tego, aby wszyscy pracowali z poczuciem społecznej odpowiedzialności za to, co robią.

Gnębi mnie jednak następujące pytanie:

WOBEC KOGO I JAK PKP ODPOWIADA ZA SWOJĄ PRACĘ?

Wobec pasażerów na pewno **NIE!**

BOGDA MADEJ

Dalszy ciąg ze str. 1

szona jest pracochłonność, zwiększa się bezpieczeństwo pracy. Aktualnie znajduje się w próbach jego projekt zmiany konstrukcji, a przez to przedłużenie żywotności wałka przy piecach do wyżarzania.

Mówią o T. Kubiaku w dyrekcji, że jest bardzo dobrym robotnikiem, utalentowanym racjonalizatorem, cenionym za gospodarność i oszczędność. Jako przewodniczący rady zakładowej cieszył się dużym zaufaniem u załogi.

Nikt jakoś nie wspomina, że nie zawsze należycie go doceniono, że w robocie trafiał na przeszkody.

W „Wifamie" przez trzy lata stała w remoncie niemiecka maszyna. Przewijali się koło niej różni fachowcy, inżynierowie medytowali, kręcili głowami. Nic, tylko speca z Niemiec sprowadzić, albo kupę forsy, wyrzucić na złom.

Dwaj z „Wifamy"

Kubiak uruchomił tę maszynę! W nagrodę otrzymał... 600 zł. A ma żonę, troje dzieci, urządza mieszkanie, sam zakładał sobie centralne ogrzewanie. Nikt nie wiedział, że za te 600 zł, kiedy dzieci spały, on ślęczał nocami przy stole, naginał wyobraźnię, mozolił się z cyrklem, ołówkiem, robił wyliczenia, by wykonać 24 rysunki, według których zdołano wreszcie uruchomić tamtą cholerną maszynę.

Albo teraz. Złożył wniosek na tzw. naczynia zamknięte. Odrzucono. Naczynia są „zamknięte", ale w magazynie, a ludzie babrzą się i ślizgają w lakierze.

Słucham wyjaśnień. Takie historie się zdarzają. Racjonalizator traci nerwy, bo jego projekt komisja nie zawsze daje do realizacji, lecz do prób, które trwają długo. Najczęściej jednak po pomyślnym sprawdzianie wniosek znajduje zastosowanie w praktyce. No, a jeśli wynagrodzenie za niskie, to można się odwołać do zjednoczenia. Kubiak to zrobił i dostał pięć razy tyle. Tylko, czy to było konieczne?

T. Kubiak ma żonę, troje dzieci, a przez to masę obowiązków. Dużo czasu poświęca pracy wynalazczej. Studiów chyba nie podejmie, ale wie, że w dobie rewolucji technicznej nie wolno odstawać w tyle, dlatego też czyta wiele pism fachowych.

— Tu, w „Wifamie" — mówi — **jest wiele do zrobienia dla takich, jak ja. Związałem się z zakładem, gdzie przecież dostrzegają mnie i doceniają. Myślę, że mogę liczyć na ludzką wdzięczność. Bo to, co robię, to nie tylko dla siebie, ale i dla ludzi. Pracuję ciężko, w trudnych warunkach, więc moimi usprawnieniami staram się im pomóc. Mówi pan, że jestem młody. Tak, i myślę, że mogę jeszcze wiele zdziałać. Ale są jeszcze młodsi, oni też mają wiele do powiedzenia. Ot, choćby Rosiak** — wskazuje na szczupłego, czarnowłosego chłopaka, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się naszej rozmowie.

Jan Rosiak uśmiecha się z zażenowaniem. Spuszcza głowę, trudno mu się zdobyć na wypowiedź. Czuję, że chciałby się wycofać z tej rozmowy. Nieśmiałość, czy skromność?..

— Janek to czołowy racjonalizator młodzieżowy — ratuje sytuację J. Pawlikowski.

I od razu wykłada to wszystko, co najbardziej cenne w poczynaniach Rosiaka. A ten rumieni się, pragnie przerwać te pochwały, bo co on tam, jeden z wielu, którzy coś udoskonalają, ulepszają.

— Od 10 lat pracuję w „Wifamie". Najpierw jako ślusarz w dziale głównego mechanika, potem na wydziale mechanicznym, a od dwóch lat jako ślusarz w narzędziowni. W 1971 roku w zakładowym turnieju Młodego Mistrza Techniki zająłem VI miejsce. W bieżącym roku ma szansę zdobyć I miejsce, w każdym bądź razie w pierwszej trójce zmieści się na pewno. Złożyłem u nas pięć projektów racjonalizatorskich, które w skali rocznej dają około 80 tys. złotych oszczędności, nie licząc poważnych osiągnięć w poprawie warunków bhp. Jest młody, ale projekty ma naprawdę udane, jeszcze żadnego nie odrzucono.

— Zaraz, zaraz — wyrywa się Rosiak. Gniecie nerwowo papierosa, palce mu drżą, ale ciągnie dalej:

— Nie wszystko szło tak gładko — mówi ciszej. — **Bo jak to było z tymi przędzarkami? No, z tym projektem „gięcia uchwytu do ramion"? Próbowali i próbowali...**

— Ale projekt przyjęli?

— Ano, przyjęli!

Ożywił się, zaczął gestykulować, opowiadać. Odrobinę dumy wyczuwa się w jego słowach, gdy mówi o swojej pracy. A byłby przecież do „Wifamy" nie trafił...

Bo, który z chłopaków nie marzy o lotnictwie, czołgach, okrętach lub samochodach? Wujek prowadził warsztat samochodowy, w którym pracował starszy brat Janka. Trudno było wypędzić chłopaka z tego warsztatu. Często biegł tam prosto ze szkoły, rzucał w kąt tornister i brał się do „roboty". Podawał bratu klucze, grzebał w silniku, w urządzeniach elektrycznych, a że patrzył uważnie, to i wiele się nauczył. Sam potrafił usunąć niektóre drobne usterki. W nagrodę była jazda samochodem. Uciecha cholerna, tylko matka załamywała ręce ze zgrozy, kiedy chłopak wracał do domu umazany, jak nieboskie stworzenie...

I byłby zasiadł w ławie technikum samochodowego, ale zdarzyło się nieszczęście. Brat uległ ciężkiemu wypadkowi. Nie, ojciec z matką nie zamierzali czegoś takiego przeżywać po raz drugi... Koniec z samochodami!...

Janek skończył więc Zasadniczą Szkołę Metalową i poszedł do pracy w „Wifamie". Dla starszych ślusarzy taki gnojek po podstawówce to zero. Co taki umie? Śrubkę przykręcić, albo skrzynkę z narzędziami nosić za majstrem...

Nie przejmował się tym, ale nie starał się „wykazywać". Bo i po co? Do dziś, mówi Rosiak, chłopaki przed wojskiem nie za bardzo się wysilają. Tyle, żeby zmianę odwalić, iść do kina, wypić kielicha, poderwać dziewczynę, pokołować trochę przy gitarach.

Ale jak się człowiek ustabilizuje (Rosiak ma 25 lat, żonę i dziecko), to się trochę inaczej zaczyna patrzeć na życie. Rosiak też to zrozumiał. Że w „Wifamie" jego miejsce, że tu będzie pracował, aby zapewnić byt żonie i dziecku. A jak już ma się zostać w zakładzie, to trzeba coś robić dla tego zakładu. Dla siebie też można zyskać, jakiś profit.

— Zaczęła mnie pasjonować praca racjonalizatorska, ale nie tylko z tego względu — mówi J. Rosiak — **że mogłem osiągnąć z tego jakiś zysk, czy uznanie. Wciągnęła mnie swego rodzaju gra. Bo inżynier, z teoretycznego punktu widzenia, mówi: panie, to mi się sprawdzi w realizacji. A ja na to, że czemu by nie. Bo wiem, ba, jestem pewny, że usprawnienie zda egzamin w praktyce. I dopiero wtedy jest frajda, gdy się okazuje, że ja miałem rację!**

Rosiak czerwienieje ze wzruszenia. Rozumiem go. To jest naprawdę coś, kiedy on, tam w hali narzędziowni, w usmarowanym kombinezonie, potrafi stanąć w szranki z inżynierem i przekonać go o swojej słuszności. Cieszy się, że inżynier musi się liczyć z jego zdaniem.

Ale jednocześnie wśród młodych krąży opinia, że ich projekty zbyt powierzchownie rozpatrywane są przez komisję. Nie potrafią ich bronić, przeto żądają, aby zawsze na komisji ich interesy reprezentował kompetentny radca. Chcieliby też osobiście uczestniczyć w dyskusji nad projektem.

Rosiak wie o tym, że każdy projekt rozpatruje dyrektor. Stąd też zna on lepiej niż inne, nazwisko racjonalizatora, dostrzega go wśród załogi.

— W „Wifamie" — mówi już teraz z werwą J. Rosiak — **dla takich, jak ja otwiera się „zielone światło". Zakład pomógł mi w szybszym uzyskaniu mieszkania. Doceniam pomoc i poparcie ze strony dyrekcji. Mam zamiar ukończyć kurs mistrzowski. Uczyć się trzeba. Nie tylko dlatego, że będą wyższe zarobki i otwarta droga awansu, bo przecież mogę zostać brygadzistą, a nawet mistrzem. Wciągnąłem się w życie fabryki, snują mi się po głowie coraz inne pomysły. To nowe „ramię" u przędzarek, o którym panu mówiłem, to bardzo ważny element w maszynie. A że jedno usprawnienie pociąga za sobą drugie, czuję, że w niedługim czasie posypią się nowe wnioski. Nie przepuszczę tej okazji!**

Powiedział dużo pozytywnych rzeczy. Potem jednak przyhamował nieco entuzjazm. Bo, szczerze mówiąc, aż tak dobrze to nie jest. Wciąż jeszcze pokutuje mniemanie o niewielkich umiejętnościach i braku odpowiedzialności u młodych. Pomija się ich w przydzielaniu trudnych zadań do wykonania, nie wierzy się w ich możliwości.

W halach fabrycznych „Wifamy", pośród stukotu, w ciężkim zapachu smarów, oliwy, rozgrzanego żelaza wizja zrodzona na planach konstruktorów urzeczywistnia się, przechodząc w kształty nowoczesnych maszyn włókienniczych.

Każda taka maszyna jest coraz doskonalsza i... coraz droższa. Dlatego też ktoś powiedział, że w fabryce liczy się przede wszystkim produkcja, że to nie miejsce na eksperymenty, które przecież mogą się nie udać.

Myślę, że jednak warto ryzykować i to nie tylko w „Wifamie". Trzeba dawać młodym szanse sprawdzenia się i możliwość zdobycia wiary w siebie samego. Oni, ich praca, cenne pomysły, będą decydować o przyszłości fabryki. Bez ich udziału życie stanęłoby w miejscu...

RYSZARD BINKOWSKI

Na pierwszej stronie bieżącego numeru ODGŁOSÓW przypomnieliśmy poszczególne artykuły **KODEKSU POSTĘPOWANIA ADMINISTRACYJNEGO,** które dotyczą czasu załatwiania skarg i wniosków, co wiąże się również z krytyką prasową, jako że i w artykułach, publikowanych w prasie, przekazywanych za pośrednictwem radia i telewizji znajdują się s k a r g i na **„zaniedbania lub nienależyte wykonanie zadań przez właściwe organy lub ich pracowników, naruszenie praworządności lub słusznych interesów obywateli, a także przewlekłe lub biurokratyczne załatwianie spraw"** (KPA Art. 157). W publikacjach prasowych, w radio i telewizji, które krytykując stan obecny lub dany konkretny przypadek, spowodowany przez instytucję lub jej pracowników, zawarte są również propozycje rozwiązań, wnioski, które dotyczą **„sprawy ulepszenia organizacji, wzmocnienia praworządności, usprawnienia pracy i zapobiegania nadużyciom, ochrony własności społecznej, lepszego zaspokajania potrzeb ludności"** (KPA Art. 169).

Publikacje te powinny być więc załatwiane zgodnie z postanowieniami KPA w ciągu **d w ó c h miesięcy,** a jeśli organ, pod adresem którego skierowano wniosek lub skargę nie jest mocen jej załatwić, to obowiązany jest przekazać ją w ciągu **14 dni** właściwemu organowi oraz powiadomić o tym zainteresowanych — w tym wypadku redakcję.

PRZYPOMINAMY wybrane Artykuły KODEKSU POSTĘPOWANIA ADMINISTRACYJNEGO dlatego, że w naszej redakcyjnej praktyce — a bywa tak nie tylko u nas — zdarzają się przypadki, kiedy krytykowane instytucje **m i l c z ą.** Oto przykład: w nr 36 „ODGŁOSÓW" opublikowaliśmy artykuł **BOGDY MADEJ** pod tytułem **„KONCERT DLA GŁUCHYCH"** i artykuł **MARKA WAWRZKIEWICZA** pod tytułem **„SZANOWNY PANIE MINISTRZE".** Oba artykuły, jeden jak sugeruje tytuł był listem skierowanym do ministra, zawierały krytyczne uwagi pod adresem niektórych praktyk **POLSKICH KOLEI PAŃSTWOWYCH.** Oba artykuły nie znalazły widocznego zainteresowania u adresatów. W nr 42 „ODGŁOSÓW" ukazał się znów artykuł **KONRADA FREJDLICHA** pt. **„PAMFLET GASTRONOMICZNY".** Tym razem krytyka dotyczyła pewnych praktyk w gastronomii. I znów **m i l c z e n i e.**

Dziś publikujemy ponownie artykuły krytyczne pod adresem tych samych instytucji: **GASTRONOMII** i **POLSKICH KOLEI PAŃSTWOWYCH.** Artykuły te, publikowane obok, wyraźnie sygnujemy, wskazując do kogo są adresowane. Aby nie było już żadnych nieporozumień, **egzemplarze pisma z krytycznymi artykułami będziemy wysyłali do adresata, domagając się jednocześnie RESPEKTOWANIA PRZEPISÓW OBOWIĄZUJĄCYCH W POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ.**

Wiersze poetów Kraju Rad

TOFIK BAJRAM

Stary kamieniarz

Powoli idzie wiejską drogą
Zbliża się, rośnie niby góra
jak głaz omszały majster kamieniarski

I z kruchej laski czerpiąc siły
sunie powoli, dysząc ciężko.
Serce owiewa chłodem wiatr
z bruzdy na czole strużka potu
spływa na brodę jego srebrną.

Wiele wzniósł domów z bloków skalnych
szuka ich teraz pośród wzgórz.
Oczy mgłą zaszły, zesztywniały ręce.
Laska prowadzi kamieniarza
i krok za krokiem trzepoce się serce

Chciałby jak ptak ale skrzydeł nie ma
chciałby rękoma unieść tamten kamień
i wie i wierzy że dłoń się nie zmęczy
że serce stare nie stanie w pół rytmu

Więc pójdzie drogą, choćby światem całym
byle nie dojść do kresu strudzonego życia
żyć chce stary kamieniarz
życie to jego miłość nieśmiertelna.
Ale laska uderza w wieko twardej ziemi
i ziemia go przyzywa

Nie myśli stary majster o swoim pomniku
nie wprowadzą go nigdy w żadne mauzoleum
Lecz się zamyka nad nim granit jego murów
jego ścian i wiązarów spiętych jego dłonią.

Przekład: **Jerzy Wilmański**

ZAKI NURI

Nad Wisłą

W ślad za Henrykiem skaczę w fale chłodne.
Miesza się wszystko w ostrym blasku dnia.
Myślę: nie Wisła,
Jestem w swojej Wołdze,
I to złudzenie ciągle we mnie trwa.
Ja, syn Kazania, pływam teraz w Wiśle
I już nie liczę szczęśliwych minut.
Wisła to przecież,
Lecz moje myśli
Przez odległości ku Wołdze płyną.
Wołgo, Wołgo, wojny dni dalekie,
Niosły mnie do ciebie drogą krwawą.
Byłem żołnierzem
I, posłuchaj rzeko
Mogłem ci utonąć pod Warszawą.
Lecz gdy faszysta miotał metalem
Jakby tylko do mnie mierząc srogo,
Dosięgłem brzegu zwyciężywszy fale,
Bo się ważyło wtedy: kto kogo.
Wtedy swoją umęczoną ręką
Dotknąłem Wisły...
Czy nie w tym boju
Nad płynącą ufnie polską rzeką
O Wołgę wciąż walczyłem swoją?
Pamiętam was, jeziora i rzeki,
Lecz kto się nad Wołgą urodził,
Wołdze on będzie wierny na wieki,
Wiecznie go woda wołżańska chłodzi.
Słyszysz, Henryku?
Nieboskłon czysty
Rozmawia teraz z niewidoczną dalą.
Może dlatego, tu, z brzegów Wisły
Widzę dalekie wołżańskie fale.

Przełożył: **Konrad Frejdlich**

ARIJA ELKSNE

* * *

Mijaliśmy wieczorną zorzę —
Tak blisko od złotego koła,
Że się zdawało, chcesz to możesz
Jego promieniem otrzeć czoło...
Że się zdawało, chcesz to możesz
Nieboskłon chwycić w dłonie drżące,
Przygnieść do piersi i nie puścić,
Aby ten wieczór trwał bez końca...
Kto wie, czy tak by się nie stało,
Lecz wzniosła rękę noc nad nami,
Prosząc, by jej nie pozostawiać
Na ciemnej drodze pod drzewami.

Przełożył: **Igor Sikirycki**

SUJUN KAPAJEW

Zorza w górach

Gwiazda spóźniona, rzekł byś — cień gwiazdy,
Za siną górę chciała uciekać,
Lecz mroki płosząc, nad senną rzekę
Zorza wysyła swe pierwsze blaski.

Na brzegu jeszcze śpi ciemność głucha,
Więc rzeczka płoni się jakby ze zmieszania,
Ale z wąwozu noc już wygania
Donośny —
Hej — hej! —
okrzyk pastucha.

WALENTIN SIDOROW

* * *

Kocham jesieni ład i spokój,
Wszystko
skończone w niej i piękne,
Z nią dusza współbrzmi jednym dźwiękiem,
Lubię jej powiew czysty łowić
Płynący z nieba.
Dzwonią wiatry.
Wysoki blask przeplata gąszcze.
Półcienie wszystkie w niej i światła,
A nie ma barw ostro krzyczących.
Nam niepojęta jej dojrzałość —
W jedynym, przejmującym błysku
Starzy mistrzowie jej doznają —
I to nie zawsze, i nie wszyscy.

Przełożył: **Marek Wawrzkiewicz**

GIENNADIJ SERIEBRIAKOW

Łabędzie

Lubię łabędzie
Zimne i czyste jak poranna Ładoga.
Lubię łabędzie
Białymi lampami pochylone nad moją drogą.
Lubię łabędzie
Za zwiewność ustępującej wody.
Lubię łabędzie —
One rosną z lilii.
Są jej płodem.
Od lat dziecięcych ukrytych w legendzie
Wciąż jeszcze słucham łabędzi jak fletu.
I teraz rozumiem,
Bajarz był po prostu poetą.
Gdy mówił, sam w cudowności te wierzył
I dawał je ludziom, jak tajemną wiedzę.
Wierzę, że w toni porannej jeziora,
Z zimnych i czystych jak śniegi lilii
Dumne ptaki się rodzą w chwili,
Gdy rzeki spływają z błyskawic.
Widzę je zawsze nad koronką fali.
Lubię łabędzie
Niedostępne i piękne
Jak dzieciństwo
Zostawione w dali.

MAKSIM TANK

Dziewczyna z Costa-Rici

Dedykacja na ofiarowanej książce

Seniorita z Costa-Rici?
O, już teraz jasne dla mnie,
Że od żaru Twej źrenicy
Jest tam u was tak upalnie:

Wiatr oddycha tu pożarem,
Na sztyletach — błysk promieni,
Nadrywają się gitary,
Głucho grzmią trzęsienia ziemi.

Gdybym był nad Panią carem --
Straż by Panią otoczyła,
Abyś oczu swych pożarem
Costa-Rici nie spaliła.

Przełożył: **Maciej J. Kononowicz**

GIENNADIJ AJGI

Requiem dziewczynie

Piękna wzdłuż rąk
zasępiona wzdłuż rzęs
jak ptak na małej stacyjce
znieruchomiała odrzucona i obca

nagle urosły kryształowe ściany
odeszła zima i przetrwała
tam gdzie zamknięte jest wszystko
cicha walka szat i lasu
i miejsce ciała gdzie się nie bywa

A tu — bez pomocy ludzi, realnie,
i bardzo daleko —
była jak z wiatrem przeminęła
bez echa: „była. była."

ciągle tu krzyczą śpiewają i świecą
ogrody całej wioski
dalekie obce

jak ziarnka złota na ziemi

a już się ciągną w mroku
rzędy ucichłych cieni
takich jak ja milczący
jak wy co nie poznajecie
tych co są już w mroku

Przełożył: **Wasyl Kocznow**

OŁZAS SULEJMENOW

Upał

Ach, co za kobieta,
Ramiona rozrzuciła,
Śpi pod kwitnącą jabłonią!
Ledwo szemrze woda.
W pomiętej koniczynie huczy ociężały trzmiel,
Słoneczne smugi brodzą po jej piersi.

Nad rowem cichutko przesuwam się w siodle,
Och, co za kobieta. Warkocze na ziemi!
Odwrócił się zawstydzony
Stary koń.
Słoneczne smugi — mają szerokość dłoni.

Przełożył: **Mieczysław M. Szargan**

GALAKTION TABIDZE

* * *

Gdy sierść najeży łan skudlony,
Obłok szafranem po nim bryźnie.
Czochra się wicher znarowiony
O nie kończącą się żółciznę.

Czerwienią łyska les spod żyta,
Gdy raptem chwyci dreszcz przestrzenie...
Ileż tygrysów tu ubito,
Żeby skórami okryć ziemię!

Przełożył: **Tadeusz Chróścielewski**

GRIGORIJ PIETNIKOW

Pamięci moich Krajewskich

TRÓJWIERSZE

W dziecięcej pamięci mój drewniany miecz, tarcza z papieru
I Twój polski modlitewnik.
Imiona bliskie — atramentem pod kolor upadłych liści.

Niby w głąb alej tajemniczo-zielonych
Wchodzę w bliskie mi brzmienia
Mowy, co nie zginęła.

Oto sierpień. Cytadela I smutna Wisła.
A nocą w celi więziennej — przed straceniem
Brzmią wiersze Twe niczym hymn życia:

Więc nowe rzucajmy ziarno —
Tę miłość, co świat zwycięża...)*

Są wypełnione po brzegi
Męstwem i wiarą.
Ich ducha uczyłem się też od Ciebie.

Przełożył: **Jan Koprowski**

*) W oryginale po polsku. Jest to fragment wiersza Rafała Krajewskiego, napisanego w celi śmierci.

TEATR

GENIUSZ I SZALEŃSTWO

Zdaniem słynnego literaturoznawcy Gustawa Lansona, żaden pisarz romantyczny nie posiadał takiej umiejętności wykorzystywania efektów teatralnych (które nie mają nic wspólnego z literaturą), co Aleksander Dumas ojciec, autor 25 tomów utworów teatralnych, które zapewniły mu miejsce... w literaturze — jak utrzymuje Lanson paradoksalnie — gdyż od czasu, jak autor „Trzech Muszkieterów" zaczął zajmować się teatrem, musiał ze względu na wymogi sceny wyleczyć się z nieznośnej rozwlekłości, cechującej jego powieści, i pisać zwięźle, nie wyrzekając się jednak właściwej mu sugestywnej siły wyrazu.

„Kean", grany w Teatrze im. Jaracza pod tytułem „Geniusz i szaleństwo", sztuka o sławnym aktorze angielskim, tyleż barwna co krzykliwa, jest popisem zręczności dramaturgicznej i zmysłu scenicznego Dumasa. Utwór odznacza się bardzo żywą akcją, w której niespodzianka goni niespodziankę, sytuacje piętrzą się do punktu kulminacyjnego, po którym intryga dąży z zawrotną szybkością do rozwiązania. Znamy podobną wirtuozerię ze sztuk Scribe'a („Szklanka wody") i Sardou („Madame sans gene"), lecz prawdę mówiąc dziś już sama wirtuozeria nam nie wystarcza. I gdyby nie adaptacja sztuki Dumasa przez Sartre'a, to kto wie, czy „Kean" dostąpiłby w niezmienionym kształcie zaszczytu wystawienia w teatrze współczesnym?

Czy jednak mariaż Dumas-Sartre jest udanym związkiem? Simone de Beauvoir w swych wspomnieniach pod tytułem „Siłą rzeczy" (tom 2) pisze, że Sartre potraktował adaptację „Keana" jak dobrą zabawę:

„Brasseur prosił Sartre'a, by opracował dla niego „Keana" Dumasa; Sartre, który ubóstwia melodramaty, nie odmówił".

A kilka stronic dalej czytamy:

„Sartre w ciągu paru tygodni, bawiąc się przy tym doskonale, napisał adaptację „Keana".

Dzięki tej „zabawie" otrzymaliśmy parę najciekawszych partii tekstu i pogłębioną postać wielkiego aktora angielskiego z czasów na przełomie XVIII i XIX wieku. Niestety, przenikające się w melodramacie dwie warstwy sztuki, Sartre'a filozoficzna (nazwijmy ją tak umownie) i Dumasa rozrywkowa koegzystują ze sobą na nierównych prawach; ich koegzystencja przypomina mi prawo ekonomiczne Kopernika i Greshama, według którego gorsza moneta wypiera z obiegu lepszą, z bardziej wartościowego kruszcu. W „Geniuszu i szaleństwie" bardziej wartościowa warstwa (Sartre) zostaje spychana na plan drugi przez dominującą warstwę rozrywkową (Dumas), która przez swą atrakcyjność przyciąga uwagę widzów nie mających już dość czasu na zastanawianie się nad filozoficznymi wstawkami Sartre'a i pochłoniętych śledzeniem rozwoju interesującej akcji, dążącej do kulminacji.

Reżyser Jan Maciejowski wykorzystał całkowicie szansę, jaką daje atrakcyjność sztuki Dumasa, która powinna chyba cieszyć się długim życiem scenicznym na deskach Teatru im. Jaracza. Czy nie warto było jednak ściszyć nieco krzykliwość Dumasa na rzecz filozoficznej refleksji Sartre'a? Zwłaszcza w ujęciach Mariusza Leszczyńskiego?... Bo już samej barwności Dumasowskiej, poczynając od czerwonozłotego szlafroka Keana przez dowcipne pomysły wyciągania butelek z winem z butów z cholewami i z innych schowków, oraz przez interesującą scenografię Henri Poulaina aż do egzotycznego kostiumu Gidsy było w nadmiarze.

Mariusz Leszczyński miał niełatwe zadanie. Kean, osobnik o temperamencie, w którym przeważa czynnik cykloidalny, czyli wahający się między euforią a przygnębieniem, znajdował się w połowie drogi między normą psychiczną a patologią. Tacy osobnicy jak Kean o szerokiej rozpiętości nastrojów, od podniecenia maniakalnego do depresji, stają się nieraz ofiarami psychozy maniakalno-depresyjnej. Leszczyński włożył dużo wysiłku w opracowanie roli i miał parę zupełnie dobrych momentów, ale w sumie, dając przewagę skłonnościom do euforii, do krzyku i przesady nad koniecznym przyciszeniem oraz przekazując tekst gwałtownie i szybko (szczególnie w scenach w garderobie teatralnej) gubił często wkład najcenniejszy, zawarty w adaptacji scenicznej Sartre'a, którego wtręty uzupełniające ginęły w potoku wymowy aktora.

Barbara Jaklicz w roli ambasadorowej de Koefeld z umiarem podkreślała właściwą damom osiemnastowiecznym afektację. Brakło tylko modnych wówczas spazmów i soli trzeźwiących, ale o to można już mieć pretensję tylko do Dumasa. W roli hrabiego Koefeld wystąpił S. Sparożyński w zastępstwie Feliksa Żukowskiego, a w roli księcia Walii — Henryk Jóźwiak. Żywą i przekonywającą postać Anny Damby, córki handlarza serów zaprezentowała niewymuszona w zamierzonej prostocie i wrodzonym wdzięku Teresa Marczewska. Dobrodusznego famulusa Keana zagrał nowy aktor Teatru im. Jaracza Regeniusz Wałaszek. W świetnym epizodzie w roli służącej Gidsy wystąpiła zawsze niezawodna Ewa Mirowska.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi. A. Dumas i J. P. Sartre „Geniusz i szaleństwo". Reżyser: Jan Maciejowski. Scenografia: Henri Poulain

FILM

LEM I TARKOWSKI

Dni Filmu Radzieckiego zapowiadaliśmy wcześniej prezentacją znakomitego filmu I. Szatrowa „Minuta milczenia", jedynego w tegorocznym zestawie filmu, w którym do głosu dochodzi współczesność. Przeszłość i tradycja znalazły jednak swój tematycznie różnorodny obraz.

Czwarta i piąta część **„Wyzwolenia"** J. Ozierowa kontynuuje największą w dziejach kina epicką panoramę wojenną, do tematu wojny powraca bardziej kameralny **„Polonez Ogińskiego"** L. Gołubowa. Tradycje kultury rosyjskiej ożywają na ekranie dwoma czechowowskimi źródłami — **„Tematem na niewielkie opowiadanie"**, w którym reżyser S. Jutkiewicz przypomina związany z powstaniem **„Czajki"** epizod z życia wielkiego pisarza, **„Wujaszek Wania"** jest kolejną próbą interpretacji ciągle fascynującej twórczości Antoniego Czechowa, propozycja świetnego reżysera A. Michałkowa-Konczałowskiego interesująca choć, jak to zwykle przy adaptacjach dzieł klasycznych bywa, nieco kontrowersyjna.

Czechow — prozaik, jak dotąd, wypada w filmowych adaptacjach lepiej niźli Czechow — dramaturg, który swojej teatralnej autonomii broni szczególnie wytrwale. Gdy o tradycjach kultury mowa, warto zwrócić uwagę na film reżysera G. Szengelaja **„Pirosmani"** ukazujący życie i twórczość gruzińskiego malarza-prymitywisty. Film ten kontynuuje piękny i bogaty w kinematografii radzieckiej nurt filmów, sięgających do źródeł kultury i obyczaju różnych narodów Kraju Rad, a zaczęty przed laty **„Cieniami zapomnianych przodków"** Paradżanowa. Klasykę literacką na ekranie reprezentuje jeszcze film **„Dwanaście krzeseł"** Ilfa i Pietrowa.

Sądzić jednak należy, że spośród tegorocznych propozycji kina radzieckiego największe zainteresowanie polskich widzów wzbudzi adaptacja powieści Stanisława Lema **„SOLARIS"**. Popularność twórczości literackiej Lema z jednej strony i popularność filmowych propozycji gatunku „science-fiction" z drugiej, powinna zapewnić filmowi Andrieja Tarkowskiego powodzenie, tym bardziej, iż film wszedł na ekrany obdarowany Srebrną Palmą na tegorocznym festiwalu w Cannes.

Przysięgłych zwolenników literatury fantastyczno-naukowej, a zwłaszcza twórczości Stanisława Lema zaskoczy zapewne interpretacja Tarkowskiego. Znakomity reżyser, jeśli przypomnieć tylko „Dziecko wojny", potraktował bowiem tak sam gatunek w jego założeniach ogólnych, jak i powieść Lema, w sposób szczególny. Zrealizował w zasadzie film niezwykle kameralny, pomysł Lema i sam temat uczynił pretekstem dla rozważań psychologicznych, pragnął go również pogłębić w jego warstwie znaczeń moralnych i ogólnofilozoficznych. Czy odniósł sukces?

Jeśli można przypomnieć w tym miejscu powieść Lema, nie najwybitniejszą chyba w jego dorobku, to warto uświadomić sobie, że liczył się w niej przede wszystkim właśnie dobry pomysł, dobrze opowiedziana fabuła, drobiazgowy, lecz interesujący i budzący fantazję nawet u najbardziej opornych czytelników, opis szczegółów cywilizacji i techniki przyszłości. Na planecie Solaris mieszkańcy Ziemi założyli stację, otacza ją ocean żyjącej plazmy. Uczeni tam pracujący i nowy przybysz z Ziemi — Kris Kelvin, dokonują odkrycia straszliwego — ocean nie tylko żyje, obdarzony jest świadomością, jest tą inną cywilizacją, której wyobrażenie pozostaje poza zasięgiem ludzkich możliwości. Człowiek wyrusza w Kosmos przygotowany na wszystko: na samotność, walkę, nawet śmierć. Chce rozszerzyć granice Ziemi do granic Kosmosu, innym cywilizacjom przekazać swoje wartości i przejąć od nich to, co najlepsze. Ale przybywa tam nie tylko jako rycerz bez skazy — niesie ze sobą cały wewnętrzny bagaż swoich słabości i grzechów, podłości i nikczemności. I tamta cywilizacja dokonuje zemsty straszliwej — materializuje myśli, wspomnienia, czyny, do których człowiek nigdy się nie przyznaje, o których innym nie mówi, są zbyt straszliwe i podłe. Taki był pomysł Stanisława Lema, niesie go sensacyjna fabuła, w której niewiele jednak miejsca na psychologizowanie, a refleksja moralna dotyczy bardziej stosunku cywilizacji ziemskiej wobec innych cywilizacji.

Tarkowski proporcje niejako odwrócił. Interesuje go psychologia człowieka przyszłości, a właściwie psychologia człowieka współczesnego, układy stosunków międzyludzkich, a nie układy różnych cywilizacji. Czuł zapewne Tarkowski, iż w tym zakresie jego zainteresowań powieść Lema nie wystarcza. Wprowadził zatem rozbudowaną część „ziemską". Obrazy ziemskiej ojczyzny nasyca jej najpiękniejszymi urokami, wydobywa akcenty podstawowych ludzkich uczuć, rodzinnej miłości, przyjaźni, lęku, odwagi, pasji poznania. Czyni to po to, by t a m d a l e k o dać odczuć tym bardziej nostalgię, by zbudować nastrój potrzebny w penetracji zakątków ludzkich myśli i uczuć. Piszę tu o intencjach reżysera, lecz nie o ich efektach, bo wydaje mi się, że Tarkowski — moralista i psycholog — obyłby się doskonale bez tych wstępnych zabiegów. Udowadnia to tam na Solaris, w gronie trzech żywych i jednej zmaterializowanej, ożywionej ze wspomnień istocie. Zamykająca film scena powrotu na Ziemię (choć powrót ten nie jest jednoznaczny — Kris równie dobrze na Solaris mógł być w swych wyobrażeniach, jak i na Ziemię w nich tylko powrócić), symbolicznie określa jedyne dla człowieka miejsce we Wszechświecie, miejsce tam w praojczyźnie, u stóp rodzinnego domu i w ramionach ojca. Ziemia jest tą przystanią rzeczy ludzkich, w których dobro i zło sąsiadują ze sobą.

Tarkowski zrobił film o poczuciu winy i próbie jej odkupienia, pomysł Lema posłużył mu w pokazaniu zmaterializowanego, dręczącego głosu sumienia, bo jest nim przecież żona Krisa, Harey, i inni „goście" na Solaris. I tylko to było mu potrzebne, zrezygnował więc ze znakomitej Lemowskiej oprawy i fantazji naukowo-technicznej. I właściwie nie wiadomo, czy żałować trzeba tego, iż nie powstał film z gatunku „science-fiction" według Stanisława Lema, czy tego, że Andriej Tarkowski swej psychologicznej dramie nie narzucił większej dramaturgicznej dyscypliny.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

„IDŻ Z NAMI W TAMTE DNI"

Leonid Leonow urodził się 31 maja 1899 roku, był synem poety i wydawcy. W czasie wojny domowej był korespondentem wojennym w szeregach Armii Czerwonej. Debiutował w roku 1922 jako poeta i prozaik. Swoje pierwsze utwory pisał pod wpływem rosyjskich symbolistów A. Białego i A. M. Remizowa. Dość szybko jednak powrócił do doświadczeń prozy tradycyjnej, jego mistrzem stał się przede wszystkim Dostojewski, a bohaterem człowiek pod ciśnieniem procesów historycznych i rewolucyjnych przemian.

W naszym kraju znamy bardziej Leonowa — prozaika. Jego powieści: „Borsuki", „Złodziej", „Nad rzeką Soczią", „Skutarewski" czy „Rosyjski los" były przełożone na język polski. Mniej znamy Leonowa — dramaturga, autora „Połowczańskich sadów", „Najazdu", „Złotej karety", „Zamieci" czy napisanej w roku 1943 „Lenuszki".

Właśnie ten utwór dramatyczny Leonowa, w adaptacji i reżyserii Stefana Szlachtycza oglądaliśmy w poniedziałkowym Teatrze Telewizji pod tytułem „IDŻ Z NAMI, W TAMTE DNI".

Oglądaliśmy? Jakże to słowo nie pasuje do tego widowiska, brzmi niemal obraźliwie, a na pewno eliminuje to, co było w ów poniedziałkowy wieczór najważniejsze: wzruszenie i poczucie współuczestnictwa i solidarności i z bohaterami tego pięknego utworu.

„Lenuszka" to przykład niemal klasyczny, powszechnego nurtu dominującego w literaturze rosyjskiej i radzieckiej. Właśnie owego szlachetnego, pięknego i moralnie czystego klimatu prawdy, poświęcenia, bohaterstwa — mimo wszystkie doświadczenia człowieczego losu. A są to przecież doświadczenia ostateczne...

Leonow przedstawia nam grupę partyzantów — chłopów, zbiegłych z okupowanej przez hitlerowców wioski w niedostępne bagna. Ludzie ci żyją, kochają się i nienawidzą, a przede wszystkim walczą. Jest w tej walce strach i heroizm, poświęcenie i okrutna nieraz świadomość wyboru sprzecznego z naturą człowieka. Jest tu również wszechobecna świadomość współuczestniczenia, tworzenia z dnia na dzień — historii i nowych prawd.

Leonow, a za nim najsłuszniej reżyser widowiska, przyjęli konwencję jedyną w tym wypadku. Konwencję ludowej ballady, baśni, poetyckiej opowieści. Podkreślały to mówiono-śpiewane songi, graficzne przerywniki i scenografia akcentująca umowność i pewną nierealność scenerii — co w efekcie przyniosło bardzo ważny, ów uniwersalny wymiar.

Trudne to do sprecyzowania, ale wydaje mi się, że właśnie w tej konwencji, ballady czy baśni, można było ten efekt osiągnąć. Bo przecież ten dramat jest z krwi i kości realistyczny, prawdziwy w każdym słowie i geście, a jednocześnie cały czas ulegamy tej aurze wielkiej i przekonywającej umowności, symboliki wobec której nie jesteśmy obojętni, jak to zwykle bywa, kiedy symbole stają się figurami retorycznymi. W takim klimacie patos, słowa o ojczyźnie, śmierci, miłości, nie są pustymi dźwiękami, są wzruszające — są samym wzruszeniem. Kiedy Lenuszka bierze karabin i mówi: „A teraz, wrogowie, płaczcie", brzmi to nie śmiesznie, lecz wzrusza i przekonuje. Czujemy się nie poza, lecz w środku owego zaczarowanego kręgu, który stworzył autor siłą swej wyobraźni i zaufania, że tak właśnie zostanie zrozumiany.

Bardzo dobrze, że właśnie tę sztukę Leonowa mogliśmy zobaczyć. Doskonale, że reżyser w pełni zrozumiał zamysł autora i udanie go zrealizował przy współudziale świetnych aktorów: Skarżanki, Ireny Karel, Jolanty Lothe, Sewruka, Wilhelmiego, Gajosa i wielu innych równie dobrych.

Oddajmy na zakończenie głos Leonidowi Leonowi, posłuchajmy jak wyobraża sobie teatr przyszłości, teatr bez którego tę przyszłość trudno sobie wyobrazić...

„Teatr przyszłości — mówi Leonow — wyobrażam sobie jako jasną salę operacyjną, na której demonstruje się poszczególne fragmenty duszy ludzkiej. Ci, którzy się temu przyglądają, widzą w ten sposób samych siebie... Zobaczę nareszcie, kim są i jak wyglądają naprawdę. Pojmą, co jest dla człowieka dobrodziejstwem co złem. I co czynić należy, aby przynieść człowiekowi wreszcie trochę szczęścia".

JAROSŁAW TARNO

HUMOR RADZIECKI

M. DYMOW

Awans

W instytucie zawrzało: Waśkow rozwodzi się z żoną! Fakt, oczywiście, banalny, lecz rzecz w tym, że żona Waśkowa, to córka samego dyrektora. I kiedy Waśkow został wezwany do dyrektora, czekano jak to się skończy!

Borys Pawłowicz z pogardą spojrzał na zięcia-dezertera.

— Zgodnie z logiką, powinienem cię, Waśkow, wyrzucić z trzaskiem. Lecz od jutra otrzymasz awans. Będziesz kierownikiem laboratorium.

Minęło pół roku. Waśkow ostrożnie zapukał w dyrektorskie drzwi.

— Wzywaliście mnie?

— Jesteś — wycedził Borys Pawłowicz. — Nędznik!

Obrażony Waśkow wypiął pierś: — Proszę was, towarzyszu dyrektorze...

— Milcz! Ech... Przez ciebie zwalniam rozsądnego pracownika. Będziesz zastępcą naczelnika oddziału.

— Boję się, Borysie Pawłowiczu, nie dam rady...

— Wiem. Mimo wszystko zostaniesz zastępcą!

— O, nie. Jestem człowiekiem niezrównoważonym, nerwowym. Rozpędzę ludzi.

— Drobiazg. Przyjmiemy nowych.

Po dwóch miesiącach sekretarka dyrektora wezwała Waśkowa do Borysa Pawłowicza.

— Tak więc — rzucił teść — mianuję cię, niegodziwca, naczelnikiem oddziału.

— Za nic w świecie! — Krzyknął wystraszony Waśkow.

— A ja cię nie będę pytał, rozumiesz?

— Zwolnię się!

— Nie puszczę! — ryknął dyrektor i nagle zmiękł. — Gołąbeczku, Wiktorze, Wiktorku zostań naczelnikiem oddziału. Przecież prawie dwieście pięćdziesiąt, plus różne dodatki, premia. Zgódź się!

— Jaki ze mnie naczelnik...

— Poradzisz. Dam ci dwóch zastępców. Zmniejszę plan. Więc?

Wieczorem, kiedy Borys Pawłowicz siadał do kolacji, żona mnąc kuchenną ścierkę, zapytała:

— Boria, powiedz: zgodził się?

— Przekonałem! — pojaśniał dyrektor.

— Och! To jakie teraz nasza Ninoczka otrzyma alimenty na dziecko?

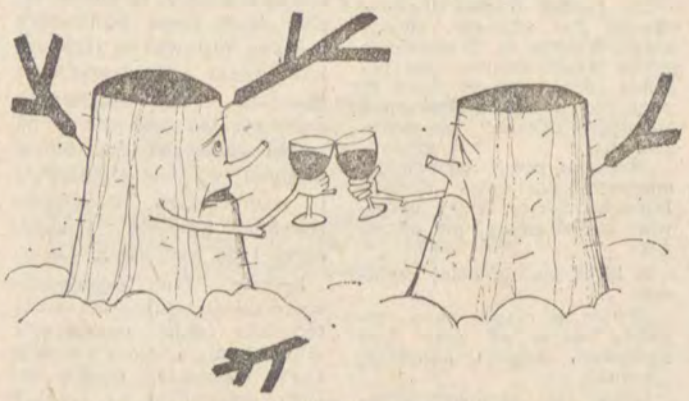

A pamiętasz, jak w ubiegłym roku poszumieliśmy?

Stale zamknięte. Trzeba będzie pójść do roboty.

W. KUZNIECOW

Na ulicy

Kupiłem motocykl i od razu pomknąłem na randkę. Było po deszczu i asfalt lśnił jak lustro. Mknąłem tak, że gwizdało w uszach, a przechodnie szybko zasłaniając się parasolkami odskakiwali na boki.

W momencie, kiedy zacząłem zbliżać się do bariery dźwięku, rozległ się gwizdek. Hamując gwałtownie uderzyłem nosem w lampę i zatrzymałem się.

— Pozwoli pan, że się przedstawię — usłyszałem. — Starszy sierżant milicji — Pietrow. Chciałbym wiedzieć czy nie w zaświaty śpieszy się pan, młody człowieku?

— O nie, śpieszę na randkę! — Odpowiedziałem prychając i ostrożnie obmacując nos.

— Wobec tego, płaci pan mandat. — I starszy sierżant otworzył zeszyt.

Już chciałem wyjąć pieniądze... i „aaapsik!"

— Co pan robi!?

— Bo co? Już i kichać nie wolno?

— Kichaj pan ile wlezie, lecz nie zdmuchuj mi bibuły. Widzi pan? Leży w kałuży.

— Też mi coś, bibuła! Jutro panu przywiozę dziesięć bibuł wraz z zeszytami.

— Ale takiej mi pan nie przywieziesz: tam były wzory z elektrotechniki. Mam niedługo egzaminy. Jak teraz będę rozwiązywał zadania?

— Drobiazg. Jestem inżynierem i za chwilę wszystko panu rozwiążę.

— No, nareszcie — westchnął z ulgą starszy sierżant. — Pierwszy człowiek wykształcony technicznie. Dotąd ciągle jechali humaniści. Choć się tu pocili — nic z elektrotechniki nie wychodziło.

Starszy sierżant podał mi zeszyt i powiedział: — Rozwiązuj, a ja popilnuję porządku, by nie hałasowali i nie przeszkadzali ci skupić się.

— Tak... tak... tak... — rozwiązywałem.

— No i jak?

— W porządku, panie starszy sierżancie. — Zapuściłem motor i chciałem odjechać.

— Chwileczkę. A mandat?

— Panie starszy sierżancie... — zająknąłem się.

— Bez dyskusji.

Wyjąłem pieniądze, zapłaciłem i pojechałem.

Gwizdek. Struchlałem.

— Proszę pokwitowanie.

Chwyciłem pokwitowanie, splunąłem, dałem pełny gaz... i znów gwizdek.

— No, co jeszcze? — powiedziałem bezsilnie, prawie waląc się z motoru.

— Jeśli się panu bardzo śpieszy — powiedział podbiegając starszy sierżant — to radzę nie jechać przez plac. Tam mój kolega przygotowuje się z chemii.

M. MISZIN

Czyż nie mam prawa?

Sierow wypalił drugiego papierosa, gdy dostrzegł go kierownik hali.

— Dlaczego nie jesteś na swoim stanowisku? — zapytał kierownik.

— Mam prawo popalić, czy nie? — odpowiedział pytaniem Sierow.

— Ano... — powiedział kierownik. — Popal...

Sierow wypalił trzeciego papierosa i skierował się w stronę saturatora. Z obrzydliwością wlewał w gardło czwartą szklankę wody sodowej, gdy zawołał nań starszy majster.

— Ciągle sterczysz bez zajęcia, Sierow?

— Mam prawo napić się wody? — zapytał Sierow.

— Ano... — powiedział starszy majster. — Napij się...

Sierow wypił piątą szklankę i podszedł do poczerniałej ze starości gazetce ściennej. Zaczął czytać tytuły od tyłu ku przodowi.

— Długo się tak będziesz chłodził? — oderwał go od tego zajęcia majster.

— Mam prawo poczytać gazetkę ścienną? — zapytał Sierow. — Tym bardziej, że obiad za pięć minut.

— Czytaj — machnął ręką majster. — Czytelnik się znalazł...

— Gdzie się szwendasz przez dwie godziny? — zainteresował się brygadzista, kiedy Sierow wrócił do hali.

— Mam prawo na pięć minut zatrzymać się za potrzebą? — zapytał Sierow.

— Masz. — Pomyślawszy powiedział brygadzista.

Sierow udał się do ambulatorium.

— Co jest do diabła! — Zaczęli krzyczeć koledzy, gdy Sierow znów pojawił się w hali. — Przez ciebie trzech ludzi nie miało zajęcia.

— Mam prawo pójść do lekarza? — Zapytał Sierow. — Mam czy nie?

Rys. B. Sawkow

Po czym westchnął i poszedł ku obrabiarce.

W tym momencie rozległ się dzwonek. Dzień pracy skończył się. Sierow skierował się do szatni. Przed nim była sobota, a potem niedziela.

Sierow także miał prawo do odpoczynku. Jak wszyscy.

Tłumaczył: EUGENIUSZ IWANICKI

§ W PARKU: 2 + 1

Sprawy kryminalne są tak ponure, że dla równowagi powinno się o nich pisać pogodnie. Ale czyż wypada żartować z sytuacji, kiedy zbóje napadną na człowieka w parku miejskim i ogołocą z portfela i paltota. Jak sobie taką scenę wyobrażę, natychmiast robi mi się smutno. Wcale się więc nie dziwię Tadeuszowi W., że nie było mu do śmiechu w chwili, gdy dwaj młodzieńcy w parku im. Hibnera przystawili mu do brzucha scyzoryk. Zabrali mu kurtkę i pierwszą pensję, jaką zarobił po wyjściu z wojska: 2.130 zł. Pieniądze przeznaczone były w dodatku na ślub i uroczystości weselne. Trzeba być nielichym pechowcem, żeby tak niefortunnie dać się oskubać łobuzom w biały dzień.

Tadeusz W. stracił nie tylko pieniądze, lecz mógł przecież stracić również zaufanie u narzeczonej. A było to tak: po wypłacie kupił pół litra i wpadł do szwagra Kosmali na Dąbrowę, ażeby opić to wydarzenie, jakim jest niewątpliwie pierwsza wypłata. Zresztą nawet małe dzieci wiedzą, że w Polsce bez okazji wódki się nie pije. Uczciwszy godnie, co należało, młody człowiek pożegnał szwagra, po drodze wstąpił do „Uniwersalu", kupił dwie wyczki do kontaktu i udał się drogą przez park do następnego szwagra. Oczywiście dotarł do celu, ale już raczej nieco ogołocony z gotówki i przyodziewku. Następnego dnia zameldował o tej przygodzie Milicji Obywatelskiej, a równocześnie sam zabawił się w detektywa. W kilka dni później wytropił przestępców w hali targowej.

W rezultacie niedawno odbyła się rozprawa sądowa, i dwaj zbójcy z Chojen mogli się naocznie przekonać, że jednak zwyczaje w gmachu przy pl. Dąbrowskiego są zupełnie inne niż zwyczaje panujące w parku im. Hibnera. Ponieważ przewód sądowy był mniej banalny niż samo wydarzenie, pozwolę sobie niektóre głosy zacytować. Wykazują one bowiem jednoznacznie, że łódzkie Chojny zaczynają przypominać momentami odesską Mołdawankę.

Świadek Ratajczyk: „Dostałem od oskarżonego Krasickiego z więzienia list. Pisał mi w tym liście, abym pojechał do poszkodowanego i porozmawiał z nim. Podał mi jego nazwisko i miejsce zamieszkania: Rzgów. Prostuję. Nie pisał, abym do niego pojechał, tylko skoro podał mi nazwisko i adres pokrzywdzonego, to sam się domyśliłem, że chce, abym tam pojechał i porozmawiał. Prostuję: Napisał, abym jednak pojechał i porozmawiał. Byłem w Rzgowie, powiedziałem Tadeuszowi W., aby wycofał oskarżenia, bo to wszystko było niepotrzebne i można było tę sprawę ugodowo załatwić".

Tadeusz W. zgodził się ze świadkiem, że „to wszystko było niepotrzebne", ale co do ugody i pojednania wyraził obiekcje natury zasadniczej. Owszem, chętnie, pójdzie na ugodę, lecz dopiero po odbyciu przez oskarżonych odpowiedniej kwarantanny w pomieszczeniu zamkniętym. Oskarżeni rzeczywiście będą musieli trochę zaczekać: Janusz Krasicki — 7 lat, Wiesław Klimecki — 5 lat.

I pomyśleć, że uczynili to wszystko dla głupiej pary butów. Zapomniałem dodać, że obaj prosto z parku pobiegli do sklepu obuwniczego i kupili sobie za zrabowane pieniądze buciki: Klimecki: czarne, Krasicki: czerwone. Nie pochodzili w tych butach długo.

W tego typu sprawach warto posłuchać również głosu rodziców. Oto, co miała do powiedzenia na temat swego syna pani Klimecka:

„Do szkoły nie chodziłam często i nie wiem, czy syn wagarował, czy też nie. W domu był bardzo posłuszny, kochał gołębie. Nie wiedziałam, że na 68 dni nauki, opuścił 44 dni. Jakaś nauczycielka ze szkoły wieczorowej powiedziała mi, że syn wagarował, a kierownik nawet wezwał męża. Dostał wtedy Wiesio lanie sznurem od żelazka".

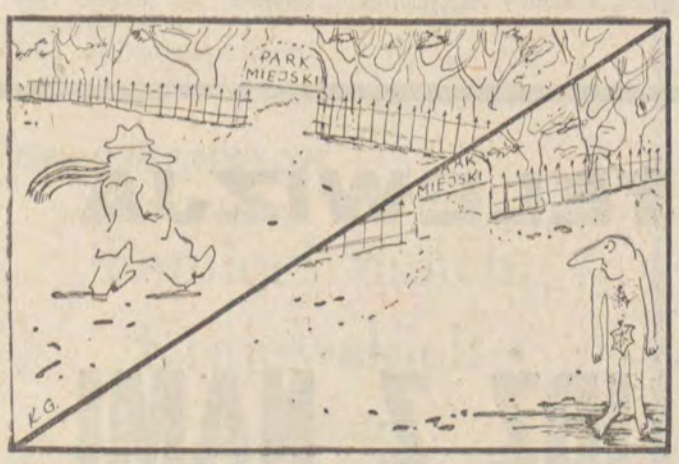

Wysoki Sąd: „Skąd syn miał pieniądze na kupno butów?

Świadek Klimecka: „Buty kupił sobie za pieniądze, które ja mu dałam. Stać mnie było na to, aby mu dać te 500 złotych. Mąż pracuje w przedsiębiorstwie pogrzebowym, zarabia 2.500 zł miesięcznie i dostaje napiwki".

Świadkowie obrony usiłowali na tej rozprawie raczej mijać się z prawdą. Nic dziwnego, środowisko, które reprezentowali, traktuje przestępstwo jako kategorię czysto techniczną. Ludzie ci również potępili złoczyńców, czyli oskarżonych, lecz tylko za to, że ci tak głupio wpadli. Oj, źle, chyba nawet bardzo źle bawi się margines społeczny na Chojnach!

KAROL BADZIAK

KONIEC LEGENDY

„L'EXPRESS" — PARYŻ

Jedna z największych tajemnic ostatniej wojny została definitywnie wyjaśniona. Czy Hitler naprawdę popełnił samobójstwo w podziemiach Kancelarii Rzeszy 30 kwietnia 1945 roku? Czy zwęglone zwłoki mężczyzny, znalezione przed wejściem do bunkra były rzeczywiście szczątkami dyktatora?

Legenda, że Hitler żyje zrodziła się nazajutrz po zdobyciu Berlina przez Armię Czerwoną, 2 maja 1945 roku, gdy korespondent amerykańskiej agencji United Press przekazał informację: **„Zwęglonych zwłok nie można z całą pewnością zidentyfikować jako ciała Hitlera".**

Informacja ta dała początek przeróżnym legendom, obiegającym świat przez ponad ćwierć wieku. **„Hitler jest w Caracas: ogolił wąsy. Hitlera widziano w Buenos Aires: nosi rudą perukę. Hitler jest w Tokio: ma czarną opaskę na oku"...** Słowem, Hitler jest wszędzie i nigdzie.

Tym fantastycznym pogłoskom położyło kres, kilka tygodni temu, dwóch dentystów norweskich na VI Międzynarodowym Kongresie Medycyny Sądowej w Edynburgu, potwierdzając tym samym świadectwo radzieckie sprzed dwudziestu siedmiu laty o śmierci Hitlera. Hitler nie żyje i nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Zwęglone szczątki mężczyzny, które znaleźli Rosjanie w Berlinie dnia 2 maja 1945 roku były zwłokami Hitlera. Obaj wspomniani lekarze przeprowadzili badania, których wyniki są nie do podważenia: była to identyfikacja przez naukową ekspertyzę zębów.

2

30 kwietnia 1945 roku Hitler i Ewa Braun (którą poślubił w przeddzień), po podaniu cyjanku najpierw psu a następnie dwóm spośród swych sekretarek, pożegnali ostatnich wiernych: Goebbelsa i Martina Bormanna, po czym zamknęli się w pancernym pokoju bunkra. O godzinie 15.30 usłyszano z zewnątrz huk wystrzału. Hitler strzelił sobie w skroń, Ewa Braun zażyła truciznę.

Wiadomo też, iż ostatnie towarzyszące im osoby wyniosły oba ciała przez zapasowe drzwi do ogrodu, sąsiadującego z gmachem ministerstwa spraw zagranicznych. Ciało polano benzyną i podpalono. Ale czy to ciało Hitlera płonęło na ich oczach? Czy nie chodzi tu przypadkiem o sobowtóra, z którego usług korzystano nader często? Czy prawdziwy Hitler nie próbował ratować życia?

W dniach, które nastąpiły po upadku Berlina, specjalna komisja radziecka, składająca się z sześciu lekarzy wojskowych i dwóch wyższych oficerów bezpieczeństwa, przystąpiła do identyfikacji tajemniczych zwłok. W szczegółowym raporcie odnotowano, iż był to mężczyzna w wieku 50—60 lat, wzrostu około 1 metra 65 centymetrów. Skóra na twarzy i na ciele całkowicie zwęglona. Język, także zwęglony, unieruchomiony między mocno zaciśniętymi szczękami. Część czaszki otwarta, przez szeroką szczelinę wyziera mózg. Lewej stopy brak. Długość prawego golenia — 39 centymetrów. Z jamy ustnej wydziela się zapach gorzkich migdałów, charakterystyczny dla cyjanku potasu. Między zębami drobne odłamki szklanej ampułki. Przed oddaniem strzału w prawą skroń, mężczyzna zażył truciznę. Na ciele — przylegające jeszcze strzępy cieplej bielizny z żółtej tkaniny. Wszelako żaden z tych faktów nie skłania komisji do sprecyzowania wniosku, iż ma ona przed sobą zwłoki Hitlera. Tyle raport.

W tej sytuacji, tylko drogą szczegółowego zbadania zębów zmarłego można by dokonać pełnej identyfikacji zwłok. Oczywiście pod warunkiem, że odnaleziono by jego dentystę.

Istotnie, charakterystycznych cech uzębienia nie da się ukryć. Proteza, plomby, próchnica są bardziej odporne na kwas i ogień, niż odciski palców. A przede wszystkim zawsze znajdzie się gdzieś dentysta, który przechował w swych aktach lekarskich kartę zdrowia identyfikowanej osoby. Ta technika identyfikacji jest szeroko stosowana po wypadkach lotniczych lub pożarach, gdy zwłok ofiar rozpoznać nie sposób. Zęby nie ulegają zniszczeniu, ponieważ w chwili śmierci język wysuwa się do przodu, między zęby, a mięśnie szczęk zaciskają się mocno i, nawet zwęglone, chronią uzębienie przed działaniem gorąca.

Rankiem 9 maja 1945 roku, nazajutrz po kapitulacji hitlerowskich Niemiec, komisja radziecka dokonała skrupulatnej resekcji nienaruszonych zębów człowieka, którego zwęglone zwłoki znaleziono przed Koncelarią Rzeszy i wręczyła je w depozyt oficerowi służby bezpieczeństwa majorowi Wasylowi Gorbuchinowi, któremu towarzyszyła tłumaczka Głównej Kwatery Armii Czerwonej — Elena Rejhewskaja. Rejhewskaja włożyła zęby do etui od biżuterii i schowała je do torebki. Następnie oboje, przedzierając się przez zgliszcza i ruiny Berlina, udali się na poszukiwanie osobistego dentysty Hitlera.

3.

Protegowany marszałka Goeringa, dr Hugo Blashke, generał broni SS, był osobistym dentystą Hitlera od stycznia 1943 roku do kwietnia 1945. Gabinet dentystyczny dr Blashke w Berlinie cudem ocalał od bombardowań. Gdy mjr Gorbuchin i Rejhewskaja zapukali do drzwi otworzył im niejaki dr Teodor Bruck, który ukrywał się na Śląsku i powrócił do Berlina, posuwając się tuż za oddziałami Armii Radzieckiej. Niegdyś pracował on u Blashke i po powrocie do Berlina zamieszkał w jego mieszkaniu.

Bruck wyraził przekonanie, że Blashke uciekł do Berchtesgaden, bawarskiej samotni fuehrera, zabierając ze sobą swoje archiwum lekarskie. Był jednak pewien, iż asystentka dr Blashke, Kaete Hausermann, jest w Berlinie i ukrywa się w ruinach kancelarii Rzeszy. I rzeczywiście, Gorbuchin i Rejhewskaja przytrzymali ją dosłownie za rękę w momencie, gdy szykowała się do ucieczki przez metro.

Zaskoczona i przestraszona Hausermann odpowiadała „tak" na wszystkie pytania. Rozpoznała wszystko, co tylko jej pokazano: mostki, koronki, plomby. Potwierdziła też rysunki na karcie dentystycznej, które wykonał radziecki dentysta. Do jej zeznań nie przywiązywano jednak większej wagi. A zdjęcia rentgenowskie uzębienia Hitlera? Według relacji Hausermann, dr Blashke zabrał je ze sobą do samolotu, który został zestrzelony, nim zdążył wylądować w Austrii. Ale przecież musiał mieć jeszcze inne w swoim polowym gabinecie dentystycznym, z którym jeździł w ślad za Hitlerem. A poza tym takie zdjęcia musiały się też znajdować w podziemiach kancelarii. Gorbuchin i Rejhewskaja znajdują je tam. Są to zdjęcia rentgenowskie i odpowiadające im opisy dr Hausermann.

11 maja 1945 roku, Rosjanie są już nieomal przekonani, że zwłoki znalezione w ogrodzie kancelarii są ciałem Hitlera. Jednakże oficjalna informacja daje tylko do zrozumienia, że Hitler nie żyje. Ale nie potwierdza jeszcze jego śmierci.

4.

W 1960 roku, w prasie radzieckiej ukazuje się obszerny artykuł, dotyczący znalezienia ciała Hitlera Nieco później jedna z radzieckich gazet zamieszcza reprodukcję fotografii resztek spopielałych zwłok Hitlera oraz informację, napisaną przez dowódcę oddziału żołnierzy radzieckich, który pierwszy zapuścił się do podziemia Kancelarii. **„Oto zdjęcie ciała Hitlera** — pisze Ilia Jakowlewicz Sianow — **Opętany szaleniec zadał sobie śmierć w ostatniej minucie. Widziałem jego ciało. Leżał rozciągnięty na ziemi, miał szeroką ranę w czole".**

I on utrzymuje, że domownicy fuehrera nie mieli czasu na spalenie jego ciała. W 1963 roku marszałek Wasyl Sokołowski, były dowódca operacji w bitwie o Berlin, zaprzeczył temu oświadczeniu **„Znaleźliśmy zwęglone ciało Hitlera"** — powiedział do Corneliusa Ryan'a, autora „Najdłuższego dnia".

W 1968 roku radziecki dziennikarz Lew Bezymienskij, były członek sztabu marszałka Żukowa, opublikował tajne dokumenty z archiwów radzieckich, świadczące o śmierci Hitlera. Są to raporty sześciu ekspertów komisji wojskowo-sądowej Armii Radzieckiej, tych samych, którzy badali w Berlinie zwęglone zwłoki mężczyzny tuż po zdobyciu miasta. Po naukowej ekspertyzie zębów zmarłego oraz kart lekarskich, odnalezionych w archiwach dr Blashke, doszli oni do wniosku, że było to z całą pewnością ciało Hitlera. Komisja stwierdziła ponadto, że Hitler otruł się, ale wyraziła wątpliwość, by po zażyciu trucizny mógł sobie strzelić w skroń. To Heinz Linge, osobisty lokaj Hitlera wykonał coup de grâce.

Publikacja tych dokumentów nie położyła jednak kresu kontrowersjom. Prasa zachodnioniemiecka utrzymywała nawet, że Rosjanie nie znaleźli autentycznych zwłok Hitlera, jeśli w ogóle one istniały. Książka Lwa Bezymienskiego zawiera nawet reprodukcje zdjęć szczęk Hitlera. Jednakże ani te zdjęcia, ani opinie i rysunki asystentki osobistego dentysty Hitlera nie zostały potwierdzone przez zdjęcia rentgenowskie uzębienia fuehrera, wykonane za jego życia. Członkowie komisji radzieckiej mówią jednak o istnieniu takiego zdjęcia, a nawet przyznają, iż mieli je w ręku. Ale nie dołączyli go do akt. Zdjęcie takie byłoby niezbitym i decydującym dowodem.

5.

Tego dowodu dostarczyło dwóch norweskich dentystów: prof. Ferdinand Ström z uniwersytetu w Oslo i prof. Reidar Sognnaes z uniwersytetu w Los Angeles. Przedstawili go na wspomnianym już kongresie lekarzy medycyny sądowej w Edynburgu Prof. Ström, zwany pionierem odontologii sądowej, w czasie swej kariery naukowej zidentyfikował ponad tysiąc zwłok: norweskich patriotów z ruchu oporu, zamordowanych przez hitlerowców i następnie pogrzebanych w niegaszonym wapnie, norweskich lotników, którzy zginęli w płonących samolotach, zwęglone zwłoki młodych ludzi, którzy zginęli podczas zabawy tanecznej i in.

Już od 1945 roku zbierał prof. Ström wszystkie dokumenty, dotyczące identyfikacji zwłok Hitlera, porównywał teksty rosyjskie, niemieckie, angielskie, wykrywał sprzeczności, błędy, przeoczenia i braki. Szukał osławionego dowodu, dowodu rzeczowego. Marzył o znalezieniu zdjęcia rentgenowskiego uzębienia Hitlera, wykonanego za jego życia i skonfrontowania go z zębami zmarłego z ogrodu kancelarii Rzeszy. Wiedział, że takie zdjęcia, wykonane przez dentystę dr Blashke i osobistego lekarza Hitlera — dr Theo Morella, istnieją ponieważ widzieli je radzieccy eksperci. Dziś obaj przyboczni lekarze Hitlera nie żyją, ale w 1945 roku zostali ujęci przez Amerykanów i protokoły z ich przesłuchań muszą gdzieś być. Ale gdzie? Na ślad amerykańskich archiwów wojskowych, rozproszonych po małych oddziałach, natrafić niezwykle trudno. Wreszcie, jesienia 1971 roku, uśmiech losu: prof. Ström spotyka przypadkiem w Oslo swego starego przyjaciela prof Sognnaes, który jest wykładowcą odontologii sądowej na uniwersytecie w Kalifornii. Oczywiście rozmowa schodzi na temat zębów Hitlera i prof Sognnaes obiecuje poszperać w archiwach amerykańskich. I oto 29 stycznia 1972 roku telefon z Los Angeles: **„Odnalazłem zdjęcia rentgenowskie głowy i zębów Hitlera, wykonane na polecenie dr Morella w dniach 19 września i 21 października 1944 roku".** Te zdjęcia czaszki Hitlera, wykonane z przodu i z tyłu, były dokumentem dotąd nieznanym. Zostały zrobione po zamachu na Hitlera w lipcu 1944 roku, gdy w wyniku wybuchu bomby Hitler cierpiał na uciążliwy szum w uszach. **„Odnalazłem także** — donosi prof. Sognnaes — **protokoły z przesłuchania dr Blashke przez amerykański kontrwywiad w listopadzie i grudniu 1945 roku".**

Z protokołów przesłuchań, które po raz pierwszy ujrzały światło dzienne wynika, że Hitler miał bardzo słabe zęby i lękał się zabiegów dentystycznych. Przez cały czas trwania wojny dr Blashke był u boku Hitlera. Miał polowy gabinet dentystyczny, zainstalowany na specjalnym samochodzie ciężarowym batalionu pułku Gross Deutschland. **„Później** — zeznaje dr Blashke — **wskutek rajdów lotnictwa nieprzyjacielskiego, gabinet dentystyczny ulokowano w schronie przeciwlotniczym".** W grudniu 1944 roku Blashke był z Hitlerem na froncie zachodnim podczas ostatniej ofensywy niemieckiej w Ardenach. Wreszcie, na początku stycznia 1945 roku, Hitler ugrzązł już na stałe, albo ściślej mówiąc na zawsze, w podziemiach Kancelarii. I tam, nieomal do samego upadku III Rzeszy, towarzyszył mu Blashke.

Mając już w ręku protokół z przesłuchania Blashke, obaj norwescy specjaliści przystąpili do pracy. Podzieliwszy się zebranym materiałem prowadzili nieustanne telefoniczne konsultacje na linii Oslo — Los Angeles. Badając ząb po zębie, koronkę po koronce, ubytek po ubytku, porównując zdjęcia retgenowskie, opisy lekarskie i zgromadzone świadectwa ustne i pisane, ustalili, że zęby mężczyzny, którego zwęglone szczątki znaleźli Rosjanie w ogrodzie Kancelarii Rzeszy, należą z całą pewnością do Hitlera. **Hitler umarł więc 30 kwietnia 1945 roku o godzinie 15.30.**

Tak się kończy legenda o fuehrerze.

J. CZECH

Kultura na świecie

DZIWNY CZŁOWIEK Jean Anouilh

„Pan jest bardzo tajemniczą osobistością, Panie Anouilh. Tak rzadko udziela Pan wywiadów. Mówił Pan nawet, że nie posiada Pan biografii i że jest Pan z tego zadowolony. Wiemy jedynie, że ma Pan 62 lata, że Pański ojciec był krawcem, a Pana matka pianistką".

W ten sposób dziennikarz z tygodnika „Paris Match" rozpoczął niedawno wywiad ze słynnym dramaturgiem francuskim Jaenem Anouilhem.

„Ja w ogóle nie mam biografii i bardzo mnie to cieszy" — mówił kiedyś Anouilh i zaraz dodawał: **„Jestem tylko rzemieślnikiem. Czyż interesuje was prywatne życie, tych którzy wyplatają krzesła lub heblują stoły?"**

Toteż i w ostatnim z nim wywiadzie Jean Anouilh jedynie dorzuca te lub inne szczegóły ze swego życiorysu. Z tego jednak co wiedzieliśmy o nim dotąd i z ostatniego wywiadu możemy sobie z grubsza odtworzyć sylwetkę wielkiego twórcy i dość dziwnego człowieka.

Urodził się w Bordeaux 23 czerwca 1910 roku w rodzinie krawca. Ale Anouilh bardzo mocno podkreśla, że jego ojciec to nie był taki sobie zwykły rzemieślnik. Już dziadek był krawcem, który szył ubrania dla notablów z Bordeaux.

„Mój ojciec szył bardzo piękne ubrania" — powiada Anouilh, a uszyć dobre ubranie, twierdzi dramaturg, to tak jak napisać dobrą sztukę sceniczną. **„Krawiectwo to poważny zawód. To sztuka".**

Jean Anouilh dzięki ojcu miał zawsze doskonale uszyte garnitury. W okresach nawet największej biedy zawsze był niezwykle starannie ubrany. Matka Anouilha była pianistką grywającą na fortepianie w kasynach. Mały Jean bywał tam wieczorami przysłuchując się jej grze. W ten sposób dość wcześnie poznał muzykę niemal wszystkich znanych operetek, a nawet umiał zaśpiewać wszystkie ważniejsze arie. Mając lat siedem bywał już na sztukach teatralnych, przeważnie trzeciorzędnych, grywanych przez trupy objazdowe. Gdy ma lat 12 pisze pierwszą w życiu sztukę sceniczną, wierszem, której nigdy nie skończył. W cztery lata później znowu próbuje napisać dramat naśladując bulwarowego dramaturga Bataille'a, którego twórczość bardzo lubił i lubi dotąd.

Gdy Jean Anouilh ma lat 17 przenosi się do Paryża. Uczęszcza do szkoły średniej, później wstępuje na uniwersytet by studiować prawo. Mając lat 19 postanawia, że sam będzie zarabiał na życie. Przerywa studia pracując w przedsiębiorstwie reklamowym. Twierdzi, że obmyślając hasła reklamowe nauczył się precyzji stylu i pomysłowości literackiej. Kiedyś, będąc na balu, na którym byli wszyscy pracownicy biura, prosi do tańca żonę swego szefa. A tańczył znakomicie m. in. modnego wówczas charlestona. Szef zachwycony grzecznością, dobrym ułożeniem, elegancją młodego człowieka podwyższa mu natychmiast pensję dwukrotnie.

Anouilh nie długo już zostanie w biurze reklamy. Przeżywa chwile, które decydują, że stanie się dramaturgiem. Oto w Comédie des Champs-Elysées Anouilh jest na przedstawieniu sztuki Jeana Giraudoux „Zygfryd". Główną rolę grał wówczas słynny aktor i reżyser Jouvet. Anouilh doznaje wstrząsu. On, który zachwycał się dotąd melodramatami i bulwarowymi sztukami, uświadamia sobie nagle, że można stworzyć na scenie prawdziwie poetycką atmosferę, można kreować bohaterów wedle własnej, oryginalnej koncepcji, wprowadzać tych bohaterów w różne sytuacje, nieraz nieprawdopodobne czy szalone, czasem wręcz paradoksalne, przez co można więcej, głębiej, dokładniej ukazać ludzki los, ludzkie charaktery i powiedzieć najgłębszą prawdę o człowieku. Postanawia zostać dramaturgiem. I w rok potem napisze „L'hermine" (Gronostaj) sztukę, która będzie dość dojrzała by ją pokazać na scenie.

Los sprawia, że Anouilhowi udaje się zostać sekretarzem Jouveta. Ma tu gażę o połowę mniejszą niż w biurze reklamy, ale woli tę nową pracę, ponieważ łączy się ona ze sprawami teatru, pozwala na stały kontakt z wielkim reżyserem i aktorem. To jednak nie Jouvet będzie tym, który pozna się na talencie swego młodego sekretarza. To nie on pomoże młodemu dramaturgowi. To dzięki aktorowi Pierre Fresneyowi po raz pierwszy sztuka Anouilha „Gronostaj" wejdzie na deski sceniczne w roku 1932. Już w tym dziele zarysowuje się temat, który potem w rozmaitych formach, postaciach, wątkach i sytuacjach dominować będzie w twórczości Anouilha, aż po dzień dzisiejszy — bezkompromisowa szlachetność bohaterów, ich wstręt do hipokryzji i fałszu, konflikt czystej moralnie jednostki z otoczeniem, konflikt nie do pogodzenia dla bohaterów Anouilha, którzy gardząc wyborem łatwiejszego życia i nie chcąc ulegać naciskowi wybierają niepewność losu lub nawet śmierć.

To nie Jouvet lecz Pitoëff poznał się w sposób istotny na talencie młodego dramaturga. Dziś Anouilh wyraża się o Pitoëffie w słowach najwyższego szacunku, uznania i podziwu. Pitoëffowie, Georges, jego żona Ludmilla i syn ich Sacha, byli rodziną francuskich aktorów pochodzenia rosyjskiego. Georges był też reżyserem teatru i on to w niesłychanie trudnych warunkach finansowych wystawił na scenie „Pasażera bez bagaży" Anouilha. Przewidywano, że sztuka utrzyma się na scenie nie dłużej niż dwa tygodnie. Mimo niesłychanie skromnych dekoracji, ubóstwa mebli (kanapę wypożyczył Pitoëff ze swego mieszkania) „Pasażer bez bagaży" zdobył sobie niezwykły sukces. Sztuka miała 200 przedstawień i przyniosła Anouilhowi po raz pierwszy rozgłos.

Nie wszystkie jednak sztuki spośród trzydziestu pięciu, jakie dotąd napisał spotykały się z przychylnością krytyki i uznaniem widzów. Niektóre jak np. „La Mandarine" doznały całkowitej porażki. Krytyka w przypadku niepowodzenia jakiegoś dramatu Anouilha bywa specjalnie złośliwa, a Anouilh jest niezwykle uwrażliwiony na głosy krytyczne. Podobno po każdej premierze zapraszał do siebie przyjaciela z lat szkolnych i pytał nieodmiennie: **„Co myślisz o mojej ostatniej sztuce?"** Tamten zaś nieodmiennie odpowiadał: **„Mój biedaku, to najgorsza z tych jakie do tej pory napisałeś".** I choć sztuka miała następnie pięćset przedstawień, przy nowej znów zapraszał przyjaciela, a ten znów mówił do Anouilha: **„Mój biedaku, to najgorsza ze wszystkich jakie dotąd napisałeś".**

Gdy grano sztukę „Cher Antoine" (Drogi Antoni) Anouilh uważał, że mu się ona nie udała i że jest bardzo nudna. Bał się publiczności, bał się krytyki i nie poszedł na premierę.

„Wejdźcie — mówił — **w położenie człowieka, który przez piętnaście dni czyta o sobie nieprzyjemne rzeczy. Nawet dozorczyni patrzy wtedy na was krzywym okiem".**

Bał się do tego stopnia, że wieczorem uciekł pociągiem z Paryża, by nazajutrz usłyszeć przez radio:

‚Monsieur Anouilh osiągnął wczoraj wieczór niezwykły sukces".

Przewrażliwiony jeśli chodzi o swe sztuki sceniczne Anouilh nie przejmuje się jeśli krytyka dotyczy jego osobistego wyglądu. Podobno pewnego razu, gdy wszedł do jednej z paryskich księgarń sprzedawca znajdował się akurat wysoko na drabinie. Anouilh uniósł głowę i spytał czy nie mógłby kupić ozdobnie wydanej książki Saint-Simona. Księgarz popatrzył przenikliwie na klienta z wysokości swej drabiny.

„Nie sądzę — odezwał się — **żeby ktoś z pańską gębą czytywał Saint-Simona".**

Anouilh był zachwycony tym powiedzeniem.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZEŹLOŚĆ teraźniejszość

Temat wciąż nieśmiertelny

Cóż z tego, że mówiono o tym stokroć i raz jeszcze, kiedy aktualność tematu nie sczezła, a można nawet żywić obawy, że z rozwojem współczesnego piśmiennictwa historycznego jeszcze się zwielokrotniła? Okazję do ponownego, po raz nie wiem już który, jego poruszenia stwarzają nam teksty: albo bardzo złe, takie, które rodzą u czytelnika pytanie: „jak można tak pisać", lub przeciwnie, dobre, które znów nasuwają myśl: „dlaczego inni tak właśnie nie piszą?". Chodzi oczywista o sposób pisania o przeszłości, a raczej o różne, nieraz bardzo od siebie odmienne sposoby pisania prac historycznych.

Dobrze wiemy, że minęły już czasy, kiedy historię liczono pośród sztuk, zdajemy sobie też sprawę — my, autorzy i my, czytelnicy — że wartość historycznego dzieła nie mierzy się jego „artystycznym" obrobieniem, że polega ona na zawartych w nim informacyjnych treściach, stanowiących wyniki żmudnych niejednokrotnie badań uczonego. Takie właśnie rozumienie wartości historycznego dzieła dziedziczymy w spadku po dziejopisarstwie ubiegłego stulecia, które uczyniło milowy krok na drodze doskonalenia warsztatu naukowego historyka, dążąc — nie całkiem przecież bezzasadnie — do jego unaukowienia na wzór dyscyplin przyrodniczych, czy nawet ścisłych. Wówczas, przed stu laty, głośny protest przeciw uważaniu historii za sztukę, oznaczał walkę z nieumiarkowanym beletrystycznym gadulstwem dziejopisarstwa epoki romantyzmu, z nadmiernym fantazjowaniem i opisowością, słowem z tymi wszystkimi cechami, które sprawiają, że dziś bardzo niewiele spośród głośnych nawet niegdyś dzieł historycznych tamtego czasu zachowało swoją wartość.

Spór o to, czy historia ma być, jak niektórzy powiadali, nauką „umiejętną", czy nadal winna być sztuką, miał więc wtedy swoje głębsze znaczenie. Rzecz jednak w tym, że w imię doskonalenia dziejopisarskiego rzemiosła, uprecyzyjniania narzędzi historycznego badania, wreszcie — co nie bez znaczenia — objęcia przez historiografię niedostrzeganych dotąd sfer problemowych, jęła potrosze zanikać w historycznym cechu tradycja dobrego, pięknego pisarstwa. Z czasem zrodziły się nawet, choć z rzadka wypowiadane głośno, niemniej popularne w środowiskach historycznych teorie, że dbałość o artystyczny kształt historycznego wykładu jest nieuprawnioną koncesją badacza na rzecz czytającej publiczności i powstała praktyka traktowania za w pełni naukowe tylko tych dzieł, które były napisane językiem hermetycznym, najzupełniej niedostępnym dla profanów i tym podobnej gawiedzi. Mimo wszelkich zaprzeczeń nie wydaje się, abyśmy zbyt daleko odeszli dziś od tego stanu.

Wciąż ukazuje się bardzo wiele książek, a jeszcze więcej artykułów, ogłaszanych na łamach naukowych czasopism, napisanych takim językiem, że naprawdę rzadko kto może od razu zrozumieć, o co właściwie autorowi chodzi, ba, zrodził się snobizm pisania uczenie, to jest mętnie, z mnóstwem mądrze brzmiących obcych słów no i oczywiście... możliwie długo. Niedawno jeden z poważnych skądinąd historyków wystąpił ze spóźnioną propozycją.. sformalizowania języka nauki historycznej, czyli wprowadzenia doń na siłę różnych symboli, wzorków i tym podobnych, chyba tylko po to, aby jeszcze zmniejszyć komunikatywność wypowiedzi uczonych no i... uczynić zadość kompleksom, jakie niektórzy humaniści wciąż mają w stosunku do znacznie „ściślejszych" od ich własnej dyscyplin niehumanistycznych. Oczywiście argumentacja była inna — mówiło się w niej o potrzebie uściślenia języka historii. Ale czyż owo uściślenie nie może być przede wszystkim, choć na pewno nie wyłącznie, walką o precyzję myśli i słowa? A jakże wciąż trudno zarówno o jedno, jak i o drugie!

Jest w historii wiele problemów, których nie sposób ująć inaczej, jak w tradycyjnej formie opisowej i tutaj trudno kwestionować znaczenie literackiej postaci wypowiedzi autora. Nie ma ona nic wspólnego z rezygnowaniem z obowiązków precyzji argumentowania i dokładności dokumentacji źródłowej. Istnieją jednak zagadnienia, w odniesieniu do których ta tradycyjna forma przestaje nam już wystarczać, kiedy historyk musi uciekać się do innych rodzajów wypowiedzi, niekiedy bardzo trudnych w percepcji dla przeciętnego czytelnika. Nikt nie może zmusić współczesnej historii społecznej, gospodarczej i innych jej dziedzin do rezygnacji z operowania wykresem, wzorem, tablicą i tym podobnymi. To oczywista, ale czy musi to koniecznie wiązać się z niedostatkami autorskiej polszczyzny, z garnirowaniem zdań pseudo-mądrymi, jakże często niejasno określonymi obcojęzycznymi terminami? Bardzo wątpię, a w przekonaniu tym utwierdza mnie hermetyczna, zdawałoby się, praca, którą ostatnio przeczytałem.

O tym, że Zbigniew Kuchowicz dysponuje świetnym piórem wiadomo od dawna, a potwierdzają to w pełni jego „Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich XVI—XVIII wieku", jedno z najlepszych historycznych czytadeł, jakie się ostatnio ukazały. Ale okazuje się, że przy pewnym wysiłku i — co tu ukrywać — także i talencie pisarskim można w sposób nie tylko jasny, ale i piękny pisać i na inne tematy. Przykładem tegoż autora ściśle naukowa, nie mająca zadań popularyzacyjnych rozprawa „Z badań nad stanem biologicznym społeczeństwa polskiego od schyłku XVI do końca XVIII wieku", choć fantastycznie długi tytuł zdawałby się zapowiadać coś wręcz przeciwnego. A więc można? Niechybnie, tylko trzeba po pierwsze chcieć, po drugie potrafić.

Wisława Szymborska napisała kiedyś w „Życiu Literackim", omawiając książkę znanego warszawskiego historyka o Napierskim, że wielu jest u nas ciekawych pisarzy... poza Związkiem Literatów Polskich. Dobrze byłoby móc częściej żywić takie mniemanie.

LEKTOR

Zdarzenia • I • Zwierzenia

Strasznie być żoną marynarza

Strasznie być marynarzem. Literatura marynistyczna przekonuje nas, że ciężko być marynarzem. I to by było normalne, bo zgodne z prawdą. Ale — niestety — istnieje jeszcze zła literatura marynistyczna.

Literatura „branżowa" zawsze spotykała się z kpinkami i najczęściej były to kpinki zasłużone. Literaturę „branżową" rodzi bowiem błędne założenie, że może ją tworzyć wyłącznie fachowiec. Niestety, fachowiec z branży, a nie fachowiec od pióra. Czasem oba te „fachy" nie wykluczają się i wówczas mamy literaturę z prawdziwego zdarzenia. Stanisław M. Saliński, Jerzy Pachlowski, Jan Papuga... Morski tramp, rybak i marynarz, a przecież wszyscy trzej są pisarzami całą gębą. Nie marynistami, a pisarzami.

Tej prawdziwej i dobrej literaturze „branżowej" wiele szkody wyrządzają jednak kłusownicy. Domorośli autorzy, którzy prawdy powiedzieć nie potrafią, a tylko ją ośmieszą nieporadnością i banałem.

Niedawno otrzymałem miesięcznik „Namiary", wydawany przez Polskie Linie Oceaniczne. Wydawać by się mogło, że PLO ma dość roboty, aby nie zajmować się działalnością edytorską w dziedzinie literatury pięknej. A jednak...

Okazuje się — strasznie być marynarzem... „Co rejs żonie przybywa siwych włosów, domek coraz głębiej w ziemię zapada, a śliwa za oknem coraz bardziej schnie i garbacieje". Garbate szczęście ma marynarz, ale czemu się tak męczy? Czemu odpływa w rejs, zamiast zmienić pracę i nie pozwolić żonie siwieć samotnie?

Strasznie być marynarzem. „Jego statek w rejs daleki wypływa, kilkumiesięczny, smutno mu i nawet upić się nie może...". Rzeczywiście, głupia sprawa. Ale to fraszka przy męczarniach małżonki. I tu w powieści kapitana Czesława A. mamy mistrzowski popis jędrnej prozy — takie polskie, siermiężne „Love story".

„Więc jak to będzie bez niego tyle miesięcy? Opuszcza ją tak nagle? Zostawia, prawie porzuca? Wydaje się, że ma ją zdradzić z morzem, ze światem dalekim, nieznanym. A jeszcze wczoraj tak kochał, całował, szeptał... A teraz sama ma zostać w dwu pustych pokojach? Sama z sobą przez tyle nocy? Właśnie teraz, gdy każdy kawałek jej skóry, wzgórek ciała pragnie rozkoszy, zbliżenia. O i teraz na samą myśl wzbierają koniuszki piersi, puchną, rosną i czerwienieją jak poziomki, wilgotne usta prowokują mimo woli...".

Chciałoby się rzec — „droga pani, niech się pani nie podnieca. Niech pani nie wierzy kapitanowi Czesławowi A., który kazał pani histeryzować w swojej powieści. Daj pani spokój swoim wzgórkom — mąż z rejsu wróci, bony PeKaO przywiezie...".

Strasznie być żoną marynarza. Męczyć się w tych pustych dwóch pokojach z kuchnią, albo w tym domku, co chociaż w ziemię zapada, ale jest (dla tysięcy jest tylko marzeniem). Strasznie jest, kiedy na samą myśl wzbierają koniuszki piersi... A tu, proszę państwa, „zaczną wyciągać się ręce namiętne, ręce obce. Odpychać je będzie musiała (biedaczka! — przyp. mój), wbrew pragnieniu ciała (co za temperament! — przyp. mój), może nawet wbrew prawu natury (no, chyba! — przyp. mój). Odpychać je będzie musiała przez sto dni, dwieście dni, tysiące dni". Koniec cytatu. Osobiście dręczy mnie pytanie natury praktycznej — jak długo można odpychać?

„Jezus Maria — pisze kapitan A. — sama rozpalona, przeciwko temu pragnieniu bronić się będzie musiała tysiące razy. Jak żołnierz na straconej pozycji — może nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi". Koniec cytatu. I tu z pana kapitana wylazł (nazwijmy to tak) dywersant. Niby to współczuje, Jezus Maria woła, a sączy ten jad zwątpienia. „Stracona pozycja", „wbrew zdrowemu rozsądkowi" — takie rozmiękczające hasła służą osłabieniu czujności marynarskich żon. Strasznie być żoną marynarza — między wizją mężowskich ciuchów z „Baltony", a podniecającą wizją kapitana A.

Ale najstraszniej poważną sprawę rozmydlić w tandetnej literaturze. O ludzkich rozstaniach i ludzkiej samotności można albo milczeć, albo pisać dobrze.

Przed laty Jan Styka — jeden z kiepskich malarzy epoki — tworzył obraz Boga Ojca. Aby praca zyskała aprobatę modela, mistrz Styka malował na klęczkach. Gdy się już zbliżał do końca dzieła, rozległ się głos z góry: „Styka, ty mnie nie maluj na klęczkach, ty mnie maluj d o b r z e".

Kapitan Czesław A. pisze na klęczkach o doli marynarza. Myślę, że Neptun, władca mórz i oceanów, powinien kapitanowi A. powiedzieć coś na ten temat. Doświadczenie uczy bowiem, że dobra literatura powstaje wówczas, gdy pisarz powstaje z klęczek.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

Dla dobra potomnych

Z dnia na dzień stajemy się wygodniejsi, na każde skinienie służą nam tysiące niewolników, zaklętych w rozliczne kontakty, dzwonki, guziki, urządzenia — jedwabne życie! Postęp techniczny i cywilizacja rozpieszczają nas, czynią coraz delikatniejszymi i wrażliwszymi.

Jednocześnie stosunki między ludźmi brutalizują się w tempie zastraszającym. Czym ten paradoks tłumaczyć? Dlaczego jegomość o zwiotczałych bicepsach, poruszający się prawie wyłącznie samochodem, odżywiający się papką gotowych, sterylizowanych, odkostnianych, odżyłowanych, odwłóknionych, niemalże przeżutych potraw, ubrany w mięciutkie, lekkie, przewiewne, suche szatki, siedzący w klimatyzowanych pokojach, wymyślnie wygodnych fotelach, dlaczego ten jegomość ogląda najchętniej idiotycznie zmyślone bujdy pełne mordobicia, zrzucania ze schodów, tortur, krwi, poniewierania kobiet?

Żeby to tylko oglądał! Tysiące takich jegomościów krążą przecież po świecie, gotowych każdej chwili potrącić, kopnąć, zwymyślać i zniszczyć każdego i każdą, bez względu na wiek, płeć i stopień pokrewieństwa, najwyżej z tchórzliwym względem na pozycję ofiary i na możliwość różnorakich odwetów. Nie czują zupełnie przykrości innych ludzi. Nie dopuszczają w ogóle myśli, że takie przykrości mogą istnieć. W ogóle ledwie że dostrzegają pojedynczych osobników swego gatunku. A tłumem można się nie przejmować, tłum to tyle co nikt.

Owszem, czytałem kiedyś dość proste, psychologiczne wyjaśnienie tego faktu: rekompensata. Czyli, że jakieś atawistyczne siły, niewyżyte dla pokonywania naturalnych przeciwności życiowych, dla walki z dzikim zwierzem, z konkurującym samcem, z kataklizmem, ciemnością, chłodem, głodem — szukają sobie ujścia w nieuzasadnionej agresywności psychicznej, po prostu — w szukaniu draki. To co — to może nie dawać człowiekowi za dużo wygód, niech włazi po schodach — albo lepiej po drabinie — na czterdzieste piętro wieżowców? Niech się wyżyje?

W niezmiernie, aż do groteski, przekornym artykule tak właśnie pisze Jerzy Mikke w „Kulturze" z 5. XI. br.: błędem jest jakoby należało tworzyć ludziom optymalne warunki życia dla jego przedłużenia.

„Organizm i jego środowisko tworzą homeostat. Na każdą poprawę warunków gatunek reaguje osłabieniem organizmów do tego samego poziomu śmiertelności: do poziomu zapewniającego selekcję naturalną, bez której gatunek nie mógłby ewoluować, a więc i rozwijać się".

Ale Jerzy Mikke napisał to zdanie siedząc w fotelu, w ogrzanym przez elektrociepłownię pokoju, przy racjonalnej i estetycznej lampie — nie skrobał rylcem po ścianach jaskini, w nędznym świetle pochodni. Nie pokonywał przeszkód. Może dlatego to zdanie jest takie wątłe i nie wróżę mu zdrowej starości. Napisał też, że błędem jest wprowadzanie nowoczesnych metod nauczania, ułatwiających dzieciom przyswajanie wiedzy.

„Wiedza — powiada — dezaktualizuje się szybko i ważniejsze od niej jest wyrobienie w sobie mechanizmu uczenia się — a ten wyrabia się najlepiej, ucząc się metodami najtrudniejszymi".

Autor powiada jeszcze, że najlepiej pamięta te wiadomości, przy podawaniu których wykładowcy się mylili. To jest kapitalne stwierdzenie. Musimy zrewidować słynne porzekadło: „uczymy się na błędach". Powinno ono brzmieć: „uczymy się na błędach naszych wykładowców". Uczmy się przy tym metodą najtrudniejszą. Żyjmy metodą najtrudniejszą, żeby gatunek się rozwijał. Ale co zrobić, jeśli nasz gatunek rozwinął się właśnie tak — właśnie w kierunku mózgowym, i dalej wydaje się iść w tym kierunku? A mózg każe mu szukać dróg najłatwiejszych, mościć drogę żywota gdzie się da i jak się da? Czyżby owa pandemoniczna natura w tym jednym wypadku oszukała samą siebie i popycha „homeostat" ludzki w stronę samobójczej degeneracji?

Można się poczuć zdezorientowanym po takich artykułach. Bo może to dobre dla gatunku, że są między nami i mnożą się osobniki brutalne, gwałtowniki, sadyści? Nie bądźmy samolubni: jeśli gatunek na tym zyska, to w porządku. Rąbmy się zdrowo. Nie tylko na ringach, w wąskim kręgu zawodowców. Wszyscy! Z myślą o przyszłości!

ĆWIEK

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2460. D-7